PRENUMERATA: w Warszawie kwartalnie Rb. 2. Półrocznie Rb. 4. Rocznie Rb. 8. W Królestwie i Cesarstwie: Kwartalnie Rb. 2.25. Półrocznie Rb. 4.50 Rocznie Rb. 9. Zagranicą: Kwartalnie Rb. 3. Półrocznie Rb. 6. Rocznie Rb. 12. Miesięcznie: w Warszawie, Królestwie i Cesarstwie kop. 75, w Austryi: Kwartalnie 6 Kor. Półrocznie 12 Kor. Rocznie 24 Kor. Na przesyłkę „Alb. Szt." dołącza się 50 hal. Numer 50 hal. Adres: „ŚWIAT" Kraków, ulica Dunajewskiego № 1. CENA OGŁOSZEŃ: Wiersz nonparelowy lub jego miejsce na 1-ej stronie przy tekście lub w tekście Rb. 1, na 1-ej stronie okładki kop. 60. Na 2-ej i 4-ej stronie okładki oraz przed tekstem kop. 30. 3-cia strona okładki i ogłoszenia zwykłe kop. 25. Za tekstem na białej stronie kop. 30. Kronika towarzyska, Nekrologi i Nadesłane kop. 75 za wiersz nonparelowy. Marginesy: na 1-ej stronie 10 rb., przy nadesłanych 8 rb., na ostatniej 7 rb., wewnątrz 6 rb. Artykuły reklamowe z fotografiami 1 strona rb. 175. Załączniki po 10 rb. od tysiąca.

Adres Redakcyi i Administracyi: WARSZAWA, Zgoda № 1.
Telefony: Redakcyi 80-75, Redaktora 68-75, Administracyi 73-22, Drukarni 7-36. FILIA w ŁODZI, ulica Piotrkowska № 81. Za odnoszenie do domu dopłaca się 10 kop. kwartalnie.

ŚWIAT

Rok VIII. № 41 z dnia 11 października 1913 r.

Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT". Redaktor: Stefan Krzywoszewski
Warszawa, ulica Zgoda № 1 róg Chmielnej.

Redaktor odpowiedzialny na Galicyę: Antoni Chołoniewski, Kraków, Dunajewskiego № 1.

Upraszamy o wczesne nadsyłanie przedpłaty na kwartał IV-ty r. b., celem uniknięcia zwłoki w wysyłaniu pisma.

Administracya „ŚWIATA".

WYLOT Z GNIAZDA.

Dziecko współczesne ma dwa gniazda: rodzinny dom i swojską szkołę. Gdy szkołę tę przejdzie w sposób zadawalający, dostaje wtedy — *świadectwo dojrzałości.* Młody człowiek musi teraz zdecydować się na wybór: poprzestać na maturze, czy pójść się kształcić w wyższym zakładzie naukowym. Gdy ten wybór jest już zrobiony, pozostaje drugi, ostateczny: szkoły specyalnej.

Te wybory robi młodzieniec nieraz bardzo wcześnie. Czasem dzieciak w klasie pierwszej, drugiej już wie „czem będzie". Nieraz, odwrotnie: młodzian z maturą zdobytą waha się, czemu się poświęcić, i wstępuje na medycynę np. pełen wątpliwości, czy to nie filologia jest przypadkiem jego właściwem powołaniem. Jeżeli te ostatnie przypadki mają trochę charakteru wodewilowego, są natomiast inne, w których rodzaj tragedyi rozszczepia duszę; bywają powołania, zwykle artystyczne, które maturzysta stłumić musi w duszy, przynajmniej na czas, aby nauczyć się pewniejszego pracowania na chleb mniej zawodny. Wtedy powołany aktor idzie na elektrotechnikę, a urodzony poeta na prawo, — z nadzieją, że życie kiedyś jakoś tam wygarnie go z manowca.

*

Co myślą,—czego pragną, — do czego się szykują ptaki ukochane nasze, wylatując z gniazda polskiej szkoły?

Zdawałoby się, że wobec tak ogromnego zainteresowania się polską szkołą społeczeństwa naszego, mieć będziemy o niej wbród informacyi.

Tak nie jest, niestety, wcale. Brak np. wszelkiej systematyczniejszej statystyki jest nietylko przykrym, nietylko uderzającym, ale nawet, powiedzmy bez ogródki, karygodnym.

Ilu maturzystów szkoły polskie wypuszczają z roku na rok? Co ci maturzyści robią, gdzie się obracają, jak z nauki odebranej w polskiej szkole korzystają?

Na te pytania tylko niekompletne, ułamkowe i zgoła bez ścisłości odpowiedzi zdołacie zebrać.

O szkole polskiej wie się mało. Doprawdy, — zamało.

Poważniejszą próbę w tym kierunku znajdujemy w „Tygodniku Polskim", który już rok po roku usiłuje choć te dane elementarne wyliczyć: ilu maturzystów wychodzi z polskiej szkoły? Wypadło, że w roku 1912 było ich— 764, a w roku 1913 — 895. Czyli mamy przyrost, i to poważny — 131 maturzystów, co świadczy o rosnącym pożytku polskiej szkoły. Z obliczeń p. Jura Kamieńskiego wypada, iż warszawskie szkoły wydały tego roku 464 maturzystów, w porównaniu z 433 roku ubiegłego, — dla prowincyi zaś te dwie liczby stanowią: 431

i 331. Rozwój szkolnictwa na prowincyi przeto daje mocniejsze rezultaty, aniżeli w Warszawie.

Mieliśmy sposobność sprawdzić, że w wyjątkowych szkołach naszych prowadzone są regestry maturzystów. To zaniedbanie jest zapewne usprawiedliwione początkowym stanem bardzo chwiejnym w niejednej ze szkół, które zmuszone były walczyć o elementarne warunki bytu, — i nie mogły oddawać się narazie zbytkowi, jaki stanowi, bądź co bądź, statystyka. *Primum vivere.* Zmieniający się kierownicy nie zostawiali dzieła napoczętego, aby je dalej następcy mogli ciągnąć. To wszystko należy uwzględnić. Ale też z tem większą wdzięcznością należy przyjąć wiadomości z dużej księgi Szkoły Mazowieckiej, w którą p. Kazimierz Kujawski wpisuje wszystkie dane o losach maturzystów jego uczelni, począwszy od pierwszego z nich.

Zróbmy więc użytek z tej cennej książki.

— Razem wypuściliśmy 44 maturzystów — oto pierwsza, ścisła i pewna informacya.

— Czy wielu z nich chce się dalej kształcić? — pytamy.

— O, wszyscy, — odpowiada nam żywo p. Kujawski. — Pęd do wyższego wykształcenia jest u nas ogromny i powszechny.

A w tym pędzie są dwa rysy charakterystyczne:

1-o. Chęć szukania wykształcenia wyższego w zagranicznych znakomitych i słynnych zakładach; co stanowi, — powiedzmy od siebie, — jakby starą polską tradycyę, od wieków średnich się ciągnącą.

2-o. Wyjazdy, określone bardzo wyraźnie tylko dla wykształcenia się i celowo skierowane do idei powrotu i pracy w kraju i dla kraju.

Jednak, mówi nam p. Kujawski, są wyjątki. Rzadkie, ale są.

— Nie trzeba tylko tego przesadzać. Ja mniemam, że nawet dłuższy pobyt polaka za granicą nie jest bynajmniej szkodliwym. Czego się on tam nauczy, gdy zatrzyma się dłużej po otrzymaniu patentu czy też stopnia naukowego, to pracy, — intensywnej, poważnej, zawziętej pracy. U nas nie tak znowu łatwo o szkołę podobną. Cudzoziemiec musi na obczyźnie dać większy z siebie wysiłek, aniżeli rodak w kraju. Tam ma konkurencyę o wiele trudniejszą. Wszędzie popierają swoich. Jeżeli polak zdoła dojść do jakiegoś stanowiska w Niemczech, Szwajcaryi, Francyi, to tylko za cenę ogromnej pracy i zdolności. A taki wyrobiony specyalista zawsze w kraju naszym znajdzie o wiele, wiele łatwiej znakomite stanowisko, aniżeli śród obcych, i otrzymamy w rezultacie gotowego i wyjątkowo dzielnego pracownika. Niesłychanie rzadkie są przykłady, aby wyrobiony za granicą polak tam na stałe już pozostał. Choć, ma się rozumieć, są. U nas idzie się po linii najmniejszego oporu. Polak za granicą iść musi po linii największego wysiłku. Nic dziwnego, że taki musi wyrobić sobie siły niezwyczajne.

Wróćmy do danych:

— Jeżeli który z 44 naszych maturzystów nie wstąpił już, albo nie wybiera się natychmiast do wyższego zakładu naukowego, to tylko z przyczyny przeszkód zewnętrznych. Taką przeszkodą czasową jest zwykle konieczność odbycia powinności wojskowej. Kto od tego jest wolny, wstępuje bezpośrednio na kursy wyższe.

— Ilu waszych wychowańców zdało maturę rządową?

— Dziewięciu. Ale trzeba wziąć pod uwagę, że to tylko z dwóch pierwszych kompletów. Trzeci, najliczniejszy, tegoroczny nie da się ostatecznie obliczyć, bo niektórzy wychowańcy dopiero w roku bieżącym robią do rządowej matury przygotowania.

— Więc takich, coby poprzestali w zasadzie na wykształceniu średniem jest?...

— Zero.

Jakie oryentacye przyjmuje młodzież ze szkół polskich?

P. Kujawski charakteryzuje je, jako — *zawodowo-produkcyjne.*

— Głęboka tu zaszła różnica w stosunku do oryentacyi dawnej. Na prawo, na medycynę, na filologię—minimum się kieruje. Ogromna większość idzie na zawody, związane z przemysłowym i rolniczym rozwojem kraju. Na prawo dwóch tylko chce się zapisać. I to jeden z nich waha się jeszcze między prawem a techniką. Na medycynę trzech. Na filologię klasyczną poszedł jeden z naszych maturzystów — i ten biały kruk jest *jedynym królewiakiem* na filologicznym fakultecie krakowskim.

P. Kujawski uważa, iż to jest — źle.

— Skądże weźmiemy nauczycieli do szkół naszych, jeżeli młodzież tak radykalnie odwróci się od studyów klasycznych? Jest w tem przesada wielka i niezawodnie szkodliwa W naszej szkole język grecki jest wykładany nieobowiązująco. Dla chętnych. Oto w tym roku nie jest wykładany wcale. Chętnych niema ani jednego. Wytłomaczyć to łatwo: Dawny system wykładu klasycznych języków był fatalny. Na samą formę zwracano tylko uwagę. Wymagano, aby uczeń znał łacinę, jak sam Cycero. Żądano, aby nietylko poprawnie, ale po literacku pisał po grecku. Z ducha cywilizacyi klasycznej wchodziło do tej tortury bardzo mało. To zrodziło społeczny wstręt do klasycznych języków. Wstręt ten nawet wysoce wykształceni pisarze u nas, jak Straszewicz i Kotarbiński, pogłębiają. Jednak społeczeństwo nie może przecież wyzbyć się do szczętu klasyków. Byłby to ekskluzywizm barbarzyński.

Zawody artystyczne obrało sobie dwóch maturzystów: jeden poszedł do konserwatoryum w Wiedniu, drugi na architekturę w Medyolanie.

Reszta to technicy, handlowcy i agronomowie.

Mianowicie: technicy — 9, handlowcy—5, agronomowie—12.

Do techników należy zaliczyć górnika (w Przybramie), do rolników ogrodnika i leśnika. Jeden z agronomów postawił sobie za zadanie — pracować na własnym, małym (do 40 mórg) kawałku ziemi, aby doprowadzić tego rodzaju warsztat do typowej doskonałości. Wogóle tak znaczny pęd młodzieży polskiej w kierunku agronomicznym jest zastanawiający. Niemniej i w kierunku handlowym. Większość tych młodzieńców zostaje w Warszawie. Kursy agronomiczne pod kierunkiem prof. Pomorskiego i handlowe p. Zielińskiego mają też takie powodzenie, że nie zdołały pomieścić bodaj połowy kandydatów, opatrzonych maturą. Są to rzeczy bardzo znamienne.

Politechnicy obierają sobie głównie Lwów za miejsce studyów. Handlowcy wyjeżdżają do Liége. Ogrodnik pojedzie do Wersalu. Muzyk do Wiednia. Przyrodę — w Krakowie, — bez celów praktycznych, studyuje jeden maturzysta. Jeden wreszcie waha się między techniką a historyą.

Na idealne drogi poszło więc tylko dwóch maturzystów p. Kujawskiego: filolog i przyrodnik.

— Jest to wystarczające — mówi nam p. Kujawski — dwóch kandydatów na uczonych na 44, to

wypada więcej nad 4%. Myślę, że to jest normalne. Jednakże, z jednej strony, nie można być pewnym, czy będą z nich uczeni, z drugiej zaś, zwykle zawód ucznego później się objawia na stałe, w wyższej szkole.

*

Innemi danemi możemy służyć czytelnikom naszym, dzięki wyjątkowej ciekawości p. *Józefa Dąbrowskiego,* zasłużonego nauczyciela, wykładającego w kaliskiej szkole handlowej. Są to trochę dawniejsze cyfry, ale za to niezmiernie starannie i pomysłowo zebrane. Z 16 uczniów najwyższej klasy wszyscy wiedzieli, co mają robić po ukończeniu szkoły. Niedość na tem; to samo wiedzieli i uczniowie trzech wyższych klas. Gimnazista polski decyduje się — łatwo... Na zarobek iść odrazu chce niewielu: w ostatniej klasie — 1, w przedostatniej — 1, w poprzedzającej przedostatnią — żaden. Wyżej kształcić się chcą— *prawie wszyscy.*

Gdzie się kształcić?

Rzecz znamienna, iż w handlu tylko — 2. Co jest mało, jak na szkołę specyalnie handlową. I co poświadcza przekonanie naszego świata pedagogicznego, iż społeczeństwo przyjmuje handlowe szkoły za realne i tak je użytkuje. Na technikę — 1. Na agronomię natomiast — 3. Jedynie medycyna posiada równy urok: — 3. Pozatem przecież objawiło chęć do nauk przyrodniczych — 2 i do matematyki — 1.

W tym wypadku więc klasyczna szkoła ziemi mazowieckiej wykazała mniej idealizmu od handlowej szkoły kaliskiej. Na 12 maturujących się mieliśmy tam 3 kandydatów do katedry.

Głęboko w poznanie duszy uczniów sięgają dane p. Dąbrowskiego, który zapytywał uczniów o ich zamiłowanie do nauk, wykładanych w szkole. Odpowiedzi uczniów czterech wyższych klas dały rezultaty zastanawiające. Oto są dwa przedmioty, jakie nie posiadają ani jednego ucznia, któryby je traktował ze specyalnym zamiłowaniem: to religia i—nauki handowe

Brak zamiłowań kapłańskich w szkole handlowej jest całkiem normalny. Ale brak w niej zamiłowań handlowych jest objawem patologicznym. Ten objaw podkreśla jeszcze inna rubryka szematu p. Dąbrowskiego: oto sześciu na dwunastu maturujących się specyalnie nie lubi nauk handlowych.

Można stąd wyciągnąć natychmiast pewien wniosek. Wiadomo powszechnie, że zamiłowanie ucznia do danego przedmiotu w szkole jest przeważnie dziełem — nauczyciela. Należy przeto skonstatować, że jeszcze przed paru laty prowincya nasza miała wielką trudność w znajdowaniu dobrych nauczycieli przedmiotów handlowych. Tem się też tłomaczy, że tylko 2 z maturujących się chce wytrwać przy zawodzie handlowym, zaś aż 3 idzie na agronomię i 3 na medycynę.

*

Jeszcze jedną kategoryą danych służyć możemy czytelnikom. Dotyczą one szkoły p. Barszczewskiej-Michałowskiej w Siedlcach. Jest to handlowa szkoła. Dane zebraliśmy bezpośrednio od jednej z tegorocznych maturzystek. Są one niemniej od poprzednich interesujące i mówią przedewszystkiem o powszechności pędu do oświaty wyższej u całej naszej młodzieży obecnego pokolenia. Wprawdzie nie tak mężnie występuje całość maturzystek siedleckich, jak maturzystów warszawskich. Na 12 ich jest jedna, która nie wie, co będzie robiła; jedna, która idzie wprost do zarobkowania; i jedna, nie mogąca się zdecydować, co i gdzie studyować. Znajdujemy natomiast dwie panny, które porzucają plany wyższego wykształcenia, aby najwcześniej mogły zająć stanowisko nauczycielek ludowych.

Dwie zabrały się do przygotowania na maturę rządową, z tych jedna na maturę rządową męską. Jedna jedzie do Krakowa — Szkoła Nauk Politycznych. Dwie na literaturę do Krakowa. Jedna na agronomię do Warszawy. Jedna na handel do Warszawy. Jedna na medycynę do Paryża.

I tu zastanawia droga praktyczna, jaką panny sobie tak chętnie obierają. Szkoła Nauk Politycznych jest niezawodnie praktyczną drogą, ponieważ dostarczyć pragnie naszym instytucyom społecznym urzędniczek lepiej wykwalifikowanych, aniżeli panny do pisania na maszynie. Na agronomię zaś kobiety cisną się coraz tłumniej, do tego stopnia, że procent kobiet na kursach prof. Pomorskiego (10% na 120 wakansów) jest szczelnie zapełniony, a sporo pań idzie na wydział przyrodniczy Kursów Naukowych w Warszawie z tem tylko rozliczeniem, aby nie stracić próżno roku i przejść w roku przyszłym na drugi kurs agronomiczny.

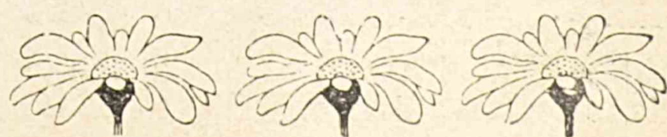
Z dawnych maturzystek szkoły siedleckiej 3 uczą się handlu w St. Gallen w Szwajcaryi a jedna w handlu w Liège. Jedna przez przyrodniczy wydział zmierza również na agronomię. Jedna pojechała na Kursy prawne do Moskwy. Dwie uczą się handlu w Warszawie. Dwie przyrody na Kursach p. Sadzewiczowej, utrzymywanych przez Związek Kobiet Katolickich. Dwie są w Konserwatoryum Warszawskiem. Jedna jest na literaturze w Paryżu, jedna na literaturze w Krakowie. Wreszcie jedna wyszła za mąż i to z szóstej klasy.

*

Niejednokrotnie różne grupy myślały o tem, w jakiby sposób dostarczyć pomocy zorganizowanej młodzieży, która wyjeżdża za granicę na wyższe studya. Ta potrzebuje jej mocniej, aniżeli kształcący się w kraju. Dla tych ostatnich życie jest łatwiejsze, dzięki obecności rodziców albo krewnych na miejscu; dzięki stypendyom, uwzględniającym głównie szkoły w kraju; dzięki wreszcie możności urywkowego zarobkowania uczących się. Tymczasem dane pokazują, że znaczna część młodzieży naszej wyjeżdża za granicę. Wprawdzie dwie nowopowstałe instytucye w potężny sposób zatrzymują młodzież w Warszawie: to Kursy Handlowe p. Zielińskiego i Kursy Rolnicze prof. Pomorskiego. Na przyszłość niezawodnie liczba wyjeżdżających dla studyów za granicę zmniejszy się. Jednak pewien procent takich trwać będzie stale. Niema w tem nic ani nienormalnego, ani niebezpiecznego. Należy myśleć o daniu pomocy tej młodzieży.

Nowiną może będzie da naszych czytelników, iż ilość wymagających takiej pomocy nie jest zbyt znaczna. Wedle p. Kujawskiego, będzie ona mniejszą od trzeciej części wyjeżdżających. Inne opinie, jakie zebraliśmy, są mniej optymistyczne. Jednakże za paręset tysięcy rubli, sądzimy, ta sprawa da się rozwiązać. Są ludzie, którzy o tem myślą. Każdy z nas w miarę możności powinien im dopomódz.

A. Pawłowski.



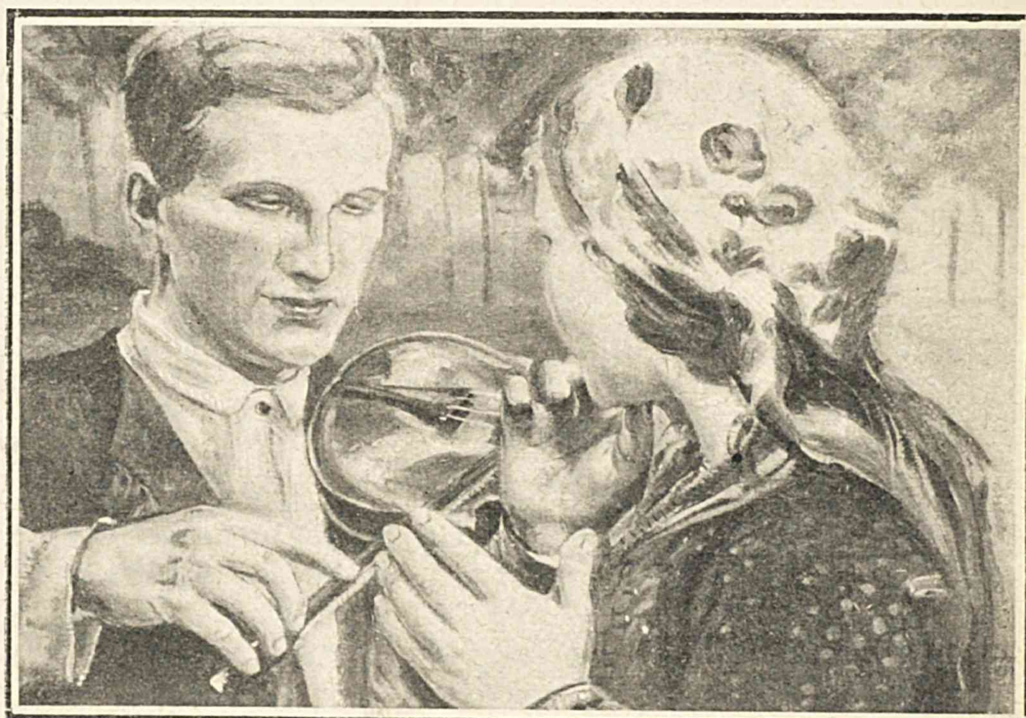
Z pracowni Antoniego Wodzinowskiego w Krakowie.



Przestrogi.



Na dawną nutę.



Skrzypki mu swatami były...

Nasi artyści.

Wincenty Wodzinowski.

Wodzinowski jest malarzem krakowskiej wsi i krakowskiego ludu, jak Tetmajer Włodzimierz, z tą różnicą, że gdy tamtego ciągnie przedewszystkiem pejzaż i na płótnie jego widzimy jakąś grupę chat modrych, rzuconych na wiosenne, zielone tło, jakiś zaułek typowy między wiejskiemi opłotkami, jakiś skrawek natury w zetknięciu z ludzką siedzibą, to Wodzinowskiemu z tego samego środowiska snuje się zawsze chłop bajecznie kolorowy i jego życie powszednie i świąteczne, które układa się w scenę rodzajową, w kompozycyę. To umiłowanie żywego, krakowskiego, sielskiego tematu, które stało się jakby artystyczną legitymacyą Wodzinowskiego, we krwi już musiało mu leżeć. Wodzinowski wyszedł z ziemiańskiego gniazda. Na pszennej proszowskiej ziemi, wesołej i słonecznej, przyszedł na świat i ona organicznie kształtowała jego przyszły kierunek twórczy. W środowisku barwnem i jasnem, wśród ludu o fantazyi junackiej i gęście szerokim, w kraju „pawich piórek" i jedynych na świecie bogatych, mieniących się, migotliwych strojów wieśniaczych, gdzie każda napotkana postać ludzka zdaje się być urodzonym modelem, gdzie dyszy wszystko tonacyą gorącą i zmienną, w tej ziemi niezwykłej, która narzuca się oku, niby jeden ogromny motyw i jedna wielka pracownia, dojrzewał instynkt malarski młodego artysty. Z tą predyspozycyą ludowo-krakowską znalazł się Wodzinowski w szkole, w „majsterszuli" Jana Matejki i pod wpływem Matejkowskiego kultu historyi i kultu ciała ludzkiego. Młody malarz był zadatkiem na „siebie samego", na to, co później nazwane zostało „indywidualnością", i szlakiem odtwarzania przeszłości nie poszedł. Wkroczył na drogę własną. Ale ze szkoły Matejki nie wychodziło się bez wpływów silnych i trwałych. Omijając jej „archeologię", wyniósł z niej Wodzinowski cenne wartości: biegłość i zamiłowanie w rysunku, poczucie kształtu, realizm ścisły i sumienny, wyniósł zmysł konkretności wraz z rynsztunkiem technicznym dla malowania postaci ludzkiej, a obok tego najcharakterystyczniejsze znamię Matejkowskiego wpływu: skłonność do kompozycyi, której już nigdy nie postradał.

Tych cech nie zmieniły już w niczem studya monachijskie; mogły je tylko pogłębić i wyszkolić. Pozostał Wodzinowski takim, jakim go uczyniła szkoła krakowska i wieś krakowska, z których pierwsza dała mu kunszt, druga temat, wiecznie grający w duszy.

Od lat dwudziestu pięciu tworzy.

Komponuje sceny, oparte na po-

Z pracowni Antoniego Wodzinowskiego w Krakowie.



Fujarka.



Zepsuty wianek.



Echo.



Wiosna.



Wśród kwiatów.



Dziewoja.



Ceregiele.



Wstydliwa.

myśle literackim; zamarzy mu się jakiś „Sen artysty", który długo żyje potem w reprodukcyach pism ilustrowanych u nas i u obcych; umie w niejednym pejzażu dać wyraz odczuciu przyrody, maluje portret, poprawny zawsze, nieraz daleko wybiegający poza poprawność. Lecz obserwacya jego instynktownie zwraca się nadewszystko ku wsi krakowskiej — pozostaje Wodzinowski nadewszystko epikiem krakowskiego, chłopskiego życia, i ku jego pogodzie, a choćby szarzyźnie, ku jego weselu i pracy, ku dniom świątecznym i powszednim wyrywa mu się dusza. Z tym światem tematowym wchodzi w twórczość, malując swój pierwszy, młodzieńczy obraz: „Na swojską nutę", przechowany w krakowskiem Muzeum Narodowem. Za nim idą dziesiątki wiejskich scen rodzajowych, wiejskich dramatów, scen obrzędowych, wobec których artysta czuje się przy pełnym oddechu malarskim, widzi je z całą wrażliwością i odtwarza z całem skupieniem talentu. Powstają rzeczy kapitalne: „Odpoczynek żniwiarzy", „Wesele idzie", „Dzień zaduszny", „Suma w kościele wróblowickim" i długi poczet innych. Na wystawach polskich i obcych dają one Wodzinowskiemu odrębne, własne miejsce, pozwalają poznać w nim od pierwszego rzutu oka jednostkę niezależną, oryginalną. I zdobywają mu rychło dużą, rosnącą ciągle popularność. Krakowskie Towarzystwo sztuk pięknych rozpowszechnia najwybitniejsze kompozycye w tysiącznych reprodukcyach barwnych. W zagranicznych, zwłaszcza niemieckich ilustracyach, jest Wodzinowski jednym z uprzywilejowanych malarzy polskich, jest gościem częstym i chętnie widzianym. Dla ciągłości studyów osiada artysta na wsi, w Swoszowicach pod Krakowem, gdzie przez szereg lat tworzy, obserwując zblizka i zacieśniając węzły z umiłowanym światem. Z bogatego dorobku lat dwudziestu pięciu rzeczy najwybitniejsze może uwięzły w galeryi prywatnej hr. Milewskiego na Litwie, z której, według planów, snutych przed laty, miały przejść z czasem na własność jakiegoś publicznego polskiego zbioru... Plany te rozwiały się, jak polskość hr. Milewskiego.

W pełni sił i twórczego rozmachu maluje Wodzinowski, zapatrzony w barwną krakowską wieś i w jej lud kolorowy. Gdy odrywa się od nich w rzadkich chwilach—jawi mu się inny obraz, nie wypatrzony, lecz wymarzony w śnie, którego wątek gubi się w Matejkowskich, młodzieńczych wspomnieniach.

Olbrzymie, na Matejkowską miarę zakrojone płótno, podmalowane znacznie, lecz dalekie jeszcze do wykończenia, wisi w pracowni artysty... Prezbyteryum katedralnego kościoła — oto tło. W mroku, który nasyca świątynię tonem głęboko perłowym, odbywa się widmowy sejm polskiej przeszłości, majaczeje napół cieleśnie korowód koronnych, świętych i bohaterskich postaci, od Mieczysława i Chrobrego poprzez długi ciąg dziejów narodu aż do dni katastrofy. Pokutnej scenie przewodniczy majestat uosobionej ojczyzny. To „Dzień zaduszny w katedrze Wawelskiej". Powraca Wodzinowski do tej ogromnej, posępnej kompozycyi raz po raz od swych chłopów kolorowych i dziewuch zalotnych, niby do dręczącego snu, którego wspomnienie mąci rzeczywistość... Lecz gigantyczny obraz nierychło jeszcze zapewne wyjdzie z pracowni.

Kraków. *Stosław.*



Pisma Aleksandra Kraushara.

Na pracę historyograficzną Aleksandra Kraushara nie można patrzeć bez wdzięczności i podziwu. Człowiek z innego narodu nie zrozumie, że ten badacz sumienny i żarliwy, za którym piętrzą się dziesiątki i dziesiątki tomów, oświetlających dzieje ubiegłe, nie zasiadał wcale na katedrze uniwersyteckiej, nie brał udziału w wyprawach archiwalnych, organizowanych przez ciała naukowe, nie mógł wogóle umiłowanemu przedmiotowi poświęcać swych sił i całego bogactwa swych zdolności. Tylko w Polsce, którą łaskawe nieba skazały na istne sztuki łamane w dziedzinie samopomocy, jest możliwy, jako zjawisko, ten prawnik z zawodu, który w godzinach „wytchnienia" idzie w pył biblioteczny i archiwalny, aby, pokonując opór materyału, ucząc się zawiłego języka przeszłości, opanowując w zaciętym trudzie wszystkie nauki pomocnicze, bez których przeszłość ta broni do siebie dostępu, wyrzucać stamtąd skarby poznawcze, nic wspólnego nie mające z wysiłkami i pracą codzienną. Zna Warszawa ten nigdzie niespotykany a podwójnie dostojny typ historycznego badacza, który w dziejach polskiej historyografii począł się dawno, w wygnańczej jeszcze pracowni Lelewela. Kraushar należy do tej osobliwej rodziny i ma w niej nazawsze swe miejsce chlubne, dobrze zapracowane. Gdy na



Aleksander Kraushar.

ostatniej publikacyi, na ostatnim tomie jego cennych „Miscelaneów“ czyta się imponującą liczbę porządkową LIV, trzeba uzmysłowić sobie, że ten zbiór, który mógłby wypełnić wiele i wiele lat pracowitych poszukiwań, to tylko część bogatego plonu zasłużonego autora, że poza nim stoją w długim szeregu kapitalne monografie: „Repnin i Polska“, „Towarzystwo Warszawskie Przyjaciół Nauk“, „Frank i Frankiści“, „Siedmiolecie Szkoły Głównej“, „Sprawa Unruga“, „Olbracht Łaski“, że trzeba jeszcze miejsce znaleźć dla trudów wydawniczych, dla kilkunastu tomów najcenniejszych źródeł, dla zapisków i pamiętników Staszyca, Niemcewicza, Kilińskiego, Andrzeja Zamoyskiego, których wydobycie lub krytyczna publikacya, to zasługa Kraushara. Wśród żyjących historyków polskich niewielu może podzielić z Krausharem zaszczyt tej benedyktyńskiej skrzętności, która mu pozwala z niezmierną hojnością bogacić literaturę naukową raz po raz nowemi pracami i publikacyami.

W ostatnim czasie niespożyta twórczość Kraushara wyraziła się w sposób, który obudzić musi najwyższy podziw. Leży przed nami najnowszy jego dorobek historyograficzny, oznaczony datą wydawniczą 1913 roku: *tomów osiem*. Zdaje się jakby w miarę wieku czcigodnego autora i w miarę zasług rósł ten imponujący zasób sił żywotnych, który pozwolił mu już dotąd odkryć umiejętną ręką tyle kart z dziejów swego narodu.

Z cyklu „Miscelanea archiwalne“ przynosi Kraushar tom nowy, który wzbogaca nas materyałami do dziejów roku 1831 („Memorabilia z czasów powstania listopadowego“) w zakresie najmniej znanym i niemal nie tkniętym dotąd przez historyografię, w zakresie wewnętrznych administracyjnych stosunków Królestwa w owej epoce. Z dziedziny tej zawdzięczamy już Krausharowi cenną rzecz o życiu potocznem Warszawy od wybuchu 29 listopada do upadku stolicy, skreśloną na podstawie współczesnych czasopism. Tu zasłużony historyk wydobywa z archiwów setki dokumentów, które pozwolą odtworzyć wewnętrzny mechanizm rządu w chwili, gdy na polach bitew rozstrzygały się losy narodu i kraju. Z poblizkiej epoki zaczerpnięta została monografia „Senator Nowosilcow i cenzura Królestwa Kongresowego“, obejmująca lata 1819—1829; dokumentami ze źródeł archiwalnych ilustruje autor martyrium polskiej myśli politycznej w dziesięcioleciu, poprzedzającem powstanie listopadowe. Nowosilcow, Szaniawski, Stefan Grabowski, około tych trzech nazwisk grupują się szczegóły szeroko zarysowanego obrazu. Do tej samej jeszcze epoki (1816—1831) odnoszą się „Typy i oryginały warszawskie“, rzecz, wydana nakładem warszawskiego Towarzystwa Miłośników Historyi, w której Kraushar wydobywa z zapomnienia w bibliotece Krasińskich ciekawą galeryę karykatur współczesnych, rysowanych przez całkiem zapomnianego artystę Jakóba Sokołowskiego, zaopatrując je objaśnieniami biograficznemi, na które zdobyć się mógł tylko tak niepospolicie wszechstronny znawca tych czasów, jak on. Rozległość poszukiwań Kraushara daje mu wyjątkową możność napotykania „po drodze“ zajmujących, nieraz niezmiernie charakterystycznych drobiazgów dziejowych, które skrzętny badacz notuje w formie szkicu, opartego zawsze na nieznanym jakimś, ciekawym dokumencie. Z tych „przyczynków“, rozsypywanych po szpaltach różnych czasopism, zebrał się obfity plon felietonowo-historyczny, który autor zamknął w wydanych świeżo „Okruchach przeszłości“. Jedna to z najmilszych książek, jakie przeczytać można dla kształcącego wytchnienia. Cykl około trzydziestu tych, jakby w przelocie rzucanych „okruchów“ wiedzie nas po szlakach trzech stuleci, wydobywając momenty i rysy nieraz głęboko znamienne, w przeważnej części dotyczące przeszłości Warszawy. Wśród drobiazgów tych znajdzie się niejedna rzecz (jak zwłaszcza „Mniemane votum kanclerza Jana Zamoyskiego“) o znaczeniu wcale nie felietonowem.

Taką również może „po drodze“ zdobytą rzeczą, która dzięki przedmiotowi swemu obiegła niedawno w streszczeniach całą prasę polską, jest „Sprawa fundacyi ks. Jabłonowskiego w Lipsku r. 1774“. Dzięki Krausharowi, który sięgnął do archiwum państwowego w Dreźnie i wydobył stamtąd autentyczny tekst aktu fundacyjnego, wiemy dziś, że „Tow. naukowe im. Józefa Aleksandra Jabłonowskiego“ w Lipsku, rozporządzające rocznie kilkudziesięciu tysiącami marek na konkursy naukowe, to instytucya, która prawnie jest do dziś własnością narodu polskiego, zagrabioną i spaczoną przez niemców. Autor słusznie zaznacza, że obowiązkiem rodu Jabłonowskich byłoby upomnieć się o swe zapomniane prawo patronatu, zastrzeżone wyraźnie ustawą fundacyjną, i przywrócić instytucyi nanowo jej dawny polski charakter. Jeśli stanie się to, jeśli owe dziesiątki tysięcy marek, któremi się dziś żywi syta nauka niemiecka, zostaną odzyskane i zgodnie z intencyą fundatora posłużą, jako nagrody dla prac z dziedziny historyi Polski i Słowiańszczyzny' niezapomnianą to będzie zasługą Kraushara.

Trzy dalsze publikacye zbliżają nas ku czasom i wypadkom nowszym, których pięćdziesięciolecie przeżywamy w tej chwili. Na te czasy Kraushar patrzał własnemi oczami, w wypadkach tych, jako młodzieniec, brał udział bezpośredni. Po upływie pół wieku staje wobec nich w roli historyka-sędziego, któremu gorący sentyment narodowy nie zaciemnia trzeźwego, objektywnego sądu o ludziach i rzeczach. Taką kartą z niedawnej przeszłości jest studyum monograficzne „Imć Pan Cześnikiewicz - Miniszewski“, rzecz o głośnym autorze „Komunałów“, Józefie Aleksandrze Miniszewskim, zasztyletowanym w Warszawie 2 maja 1863 roku. Miniszewski, publicysta i powieściopisarz wybitnych zdolności, należy do literatury i do historyi. Autor słynnych swego czasu „Listów Cześnikiewicza“, „Galeryi obrazów szlacheckich“ i całego szeregu poczytnych utworów powieściowych, jako artysta zapomniany został rychło po tragicznym zgonie, który na długo rzucił cień na jego pamięć. Kraushar zajmuje się nim wyłącznie, jako politykiem-publicystą, gromadząc cenny materyał do oświetlenia tej postaci niezwykłej, którą pokolenie nasze zaczyna sądzić spokojniej, patrząc, ażali sąpodliwym sztyletem zwolenników ówczesnego ruchu nie padła jednostka, której winą było przedewszystkiem niepodzielanie złudzeń powszechnych i śmiałe opowiedzenie się po stronie programu, niosącego krajowi zdobycze skromniejsze, lecz realne i pewne. Z tej samej epoki zamętu i katastrofy daje Kraushar dalszy, wysoce zajmujący przyczynek monograficzny „Kraszewski i Wielopolski“, oświetlający stosunek wzajemny tych dwóch ludzi wybitnych, tak biegunowo różnych nietylko politycznem wyznaniem wiary, ale nadewszystko temperamentem, psychiką, metodą ujmowania zjawisk publicznych. Bogactwem sumiennie zgromadzonego materyału, jasnością jego ugrupowania i spokojem historyka-badacza, poszukującego prawdy i tylko prawdy, wyróżniają się te obie prace w najnowszej literaturze naszej, poświęconej wypadkom styczniowym, wobec których dziś jeszcze echa długotrwałych namiętności nie zdołały całkowicie zamilknąć. I do tej samej epoki dorzuca Kraushar książkę, która, zachowując wartość dokumentu dziejowego, przynosi ton odrębny, wrażeniowy, osobisty, ton ujmującego i podbijającego liryzmu. To tom drugi „Kartek z pamiętnika Alkara“ (kryptonim, pod którym Kraushar ogłaszał niegdyś swe utwory poetyckie), obejmujący lata 1858—1865. Niezwykłą, przedziwnie oryginalną książkę ofiarował nam zasłużony historyk w tym swoim młodzieńczym „pamiętniku“, niosącym echa bezpośrednie przeżyć z przed pół wieku. Składa się na nią zachowana szczęśliwie korespondencya trzech przyjaciół, których młodość przypadła na owe lata tragiczne. Listy Kraushara datowane są z Warszawy, potem z Lipska, dokąd w intere-

sach rządu narodowego wysłany został przez jego wydział prasowy. Splatają się z niemi listy dwóch towarzyszy, złączonych węzłem przyjaźni i wspólnością ideałów, a wśród nich wybijają się przepiękne zwłaszcza listy Henryka Merzbacha, najstarszego w tym tryumwiracie młodzieńczym, poety dużej kultury i niepośledniego talentu. Historyk znajdzie w tym niezwykłym troistym pamiętniku rzecz nieoszacowaną: ton autentyczny czasu, oddech epoki. Z kart jego wieje ku nam poprzez oddalenie półwiekowe ów nastrój wysoki i mistyczny, jakim żyło pokolenie dni styczniowych. Historya tu plącze się i wiąże z poezyą, bezcenną, niezwykłą, najrzadszego piękna, bo poezyą rzeczywistości, gdy np. z pod młodzieńczego pióra Kraushara tryska taki ustęp: „Cóż nas dziś jeszcze do życia nęcić może? Wszędzie łzy, przekleństwa i skrzyp szubienic... A niedługo, gdy wiosna nadejdzie, to się ludzie dziwić będą, że ani jednej białej róży nie zobaczą—wszystko tak się czerwienić będzie... *nawet rosa będzie czerwona...*"

To styczeń, 1864.

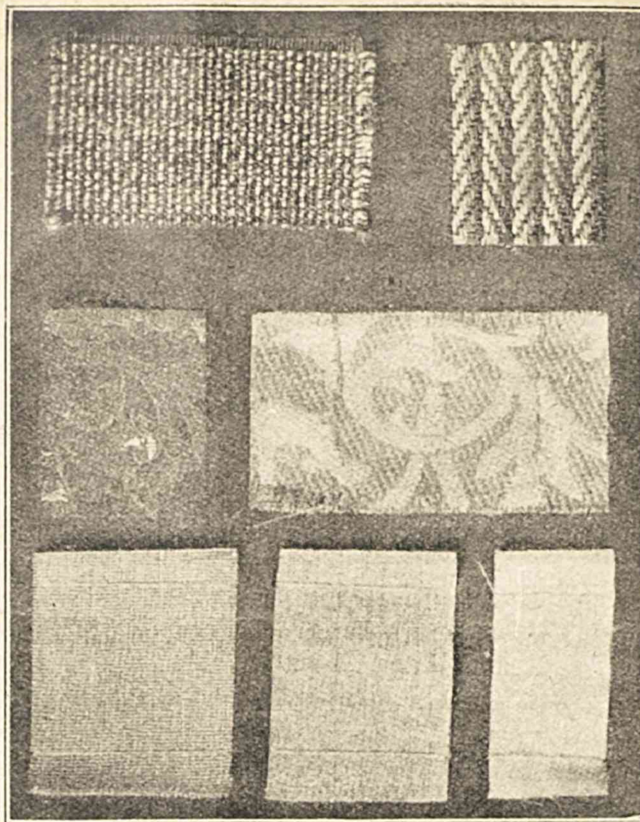
Dobrze stało się, że czcigodny badacz zachował nam te zajmujące karty autobiograficzne, w których żywo odbił się nietylko fragment naszych dziejów, lecz ponadto jeszcze jego własna dusza, gorąco miłująca, piękna, znamieniem najwyższego duchowego szlachectwa znaczona...

To znamię odnajdujemy w całej Aleksandra Kraushara działalności pisarskiej. Pracowitość i płodność autorska, budząca głęboki szacunek i niemal fenomenalna erudycya w zakresie przeszłości polskiej i sumienna gruntowność poszukiwań, to nie wszystko jeszcze, co między Krausharem i wykształconym ogółem polskim wytworzyło trwały węzeł. Pozostaje ów nieuchwytny duch, który każdą pracę jego przenika, ów uczuciowy współczynnik każdego ścisłego badania naukowego, owo intensywne odczucie narodowej chwały i narodowych klęsk, które czyni z niego tak wdzięcznie zawsze witanego przewodnika po obszarach naszej przeszłości. *A. Ch.*

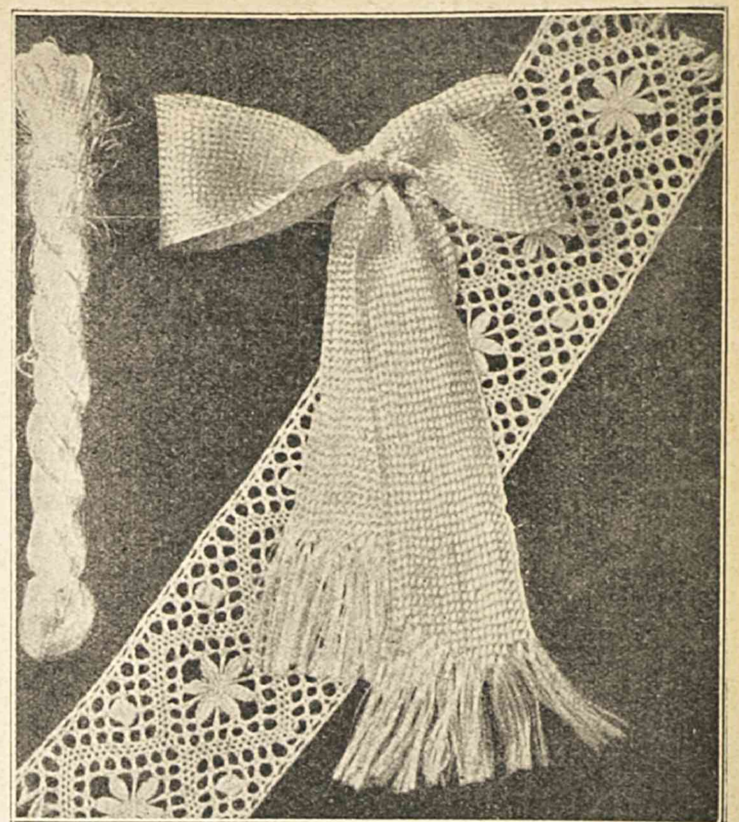
Sztuczne materyały.

Za dobrych czasów naszych prababek posiadała niejedna gospodyni domu książeczki, pouczające ją o rozmaitych większych i mniejszych oszukańtwach rzemieślników i handlarzy. Były tam opisane sposoby fałszowania środków spożywczych i materyałów codziennego użytku; był podany sposób rozpoznawania tych fałszerstw.

Nie tak wiele lat minęło od owego czasu. A jednak dzisiaj nie wystarczyłaby już książeczka, nie wystarczyłoby nawet obszerne dzieło, by opisać dokładnie to wszystko, co przemysł i handel fałszuje, lub naśladuje. Rozróżnienie takie jest konieczne. Jeżeli bowiem kupujemy imitacyę ze świadomością, że jest sztucznym materyałem, nie możemy się uważać za oszukanych, ani nazywać fabrykatu fałszerstwem. Niejednokrotnie przecież poszukujemy umyślnie sztucznego fabrykatu, z powodu pewnych jego zalet, a przedewszystkiem z powodu jego taniości w porównaniu z materyałem naturalnym.



Tkaniny z nici papierowych.



„Jedwabne" wyroby z bawełny strzelniczej.

Nowożytny przemysł, wykorzystując ogromne zdobycze techniki, wprowadza na targ światowy coraz więcej materyałów sztucznych, mających zastąpić produkt naturalny. I w niejednej gałęzi produkcyi osiąga bardzo pomyślne rezultaty. Sztuczny jedwab, sztuczna skóra, sztuczny kauczuk i t. d. i t. d. zdobyły sobie już prawo bytu w szerokich kołach odbiorców i służą im równie dobrze, jak produkty naturalne. A technicy i wynalazcy obmyślają bez przerwy nowe metody sztucznej produkcyi, nowe udoskonalenia sztucznych materyałów. O kilku ostatnich wynalazkach z tej dziedziny chcę podać poniżej nieco szczegółów.

Znane niemieckie towarzystwo akcyjne Auera zamierza w niedalekiej przyszłości wprowadzić w handel sztuczną skórę, fabrykowaną... z grzybków i bakteryi. Wynalazca wykorzystał fakt dawno znany. Jeżeli mianowicie będziemy hodować bakterye na stałej spożywce np. na żelatynie, otrzymamy kulturę równomiernie gęstą i równomiernie grubą. Z pokładu tego usuwa się nadmiar wilgoci, nasącza się go białkiem lub rozczynem kleju, a potem garbuje tak, jak zwykłą skórę. Zależnie od rodzaju bakteryi i grzybków, sztuczna skóra jest albo bardzo delikatna i służy do wyrobu przedmiotów zbytkowych, albo też grubsza i twardsza, a wtedy nadaje się do fabrykacyi obuwia, kufrów i t. p. Zależnie od barwy bakteryi, otrzymujemy naturalne zabarwienie żółte, pomarańczowe, lub czerwonawe; można też materyał sztucznie zabarwić, albowiem doskonale wchłania każdy barwik. Od skóry naturalnej nie można go niemal odróżnić. Obecnie wynalazca pracuje jeszcze tylko nad tem, aby wyhodować podwójne i potrójne pokłady, albowiem wytwarzane dotychczas są nieco za cienkie. Bądź co bądź dla naturalnej, zwierzęcej skóry urasta poważne i niebezpieczne współzawodnictwo.

Sukna i płótna, zrobione z papieru, spotyka się co raz częściej zagranicą. Na pierwszy rzut oka nie różnią się niczem od prawdziwych materyałów, a nawet dokładniejsze oglądnięcie nie pouczy patrzącego, z czego są zrobione. Trudno wprost przypuścić, aby eleganckie, białe, letnie ubranie męskie było uszyte z tkaniny papierowej. A widząc śnieżnie białą bieliznę na wystawach sklepowych, dziwimy się tylko, dlaczego jest tak tania w porównaniu z leżącem obok, niepozornem, szarem płótnem. Nie przechodzi nam przez myśl, że i to jest papierowa tkanina. Trwałość jest rozmaita, zależnie od tego, czy papier przerabia się wprost na nić, czy też przędzie się go na cieniuteńkiej nitce wełny.

Sztuczny jedwab fabrykuje się dzisiaj prawie wyłącznie z... bawełny strzelniczej; panie nasze wdziewają na siebie jeden z najstraszniejszych środków wybuchowych. Ale obawy zbyteczne; przed wysnuciem nici odjęto bawełnie strzelniczej jej wybuchowe właściwości; przerobiona na tkaninę nie jest niebezpieczniejsza od naturalnego jedwabiu.

Sposób fabrykacyi jest bardzo prosty: Rozpuszczoną w eterze bawełnę strzelniczą wystrzykuje się przez zakończone maleńkim otworkiem pompki szklane; zaskrzepłe włókienka przędzie się w nić. Wystrzyknięty przez większe otworki rozczyn dostaje się w handel, jako sztuczne włosie i jest używany w

konfekcyi męskiej oraz do wyrobu tanich materyi do pokrywania mebli. Z nici „jedwabnych“ tka się materye na suknie, wyrabia wstążki, koronki i t. p., które z pozoru sprawiają wrażenie naturalnego jedwabiu.

Wszystkie wymienione wyżej imitacye odznaczają się przedewszystkiem taniością i to zwłaszcza zapewnia im szerokie rozpowszechnienie. Pod względem trwałości nie wszystkie oczywiście mogą współzawodniczyć z prawdziwym materyałem.

St. I.

Fotografie amatorskie.



Sielanka.

Dzieje Warszawy.

Nowa monografia.

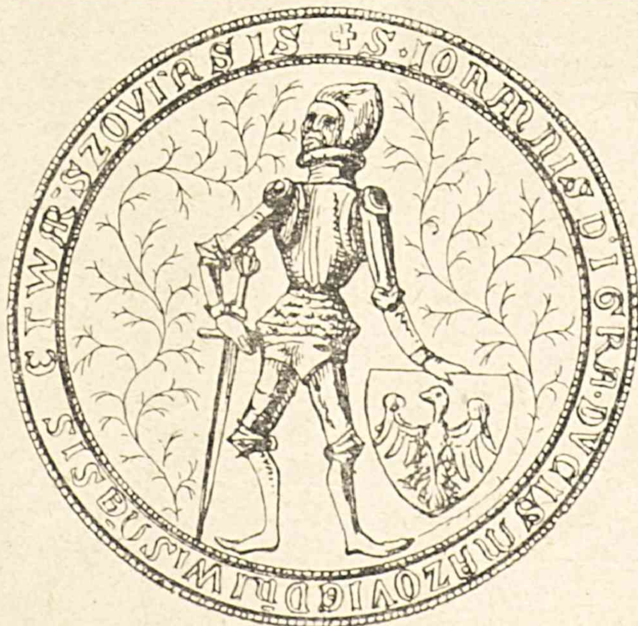
Ze wszech stron przybywa nam wiadomości o starej Warszawie. Piękny pamiętnik po wystawie, jaką urządziło przed kilku laty Towarzystwo Ochrony Zabytków Przeszłości, dał trwałe wspomnienie znacznej części tego, czego czas zniszczyć jeszcze nie zdążył. Kolekcya, poświęcona warszawskiemu życiu, a wydawana przez Towarzystwo Miłośników Historyi, wzbogaca się ustawicznie. Szczęśliwie rozpoczęta „Warszawą za książąt mazowieckich“ prof. Chlebowskiego, może się pochwalić ośmiu już tomami, co stanowi dowód wielkiej ruchliwości i żywotności sympatycznego zrzeszenia. Otrzymaliśmy wreszcie i dzieło o bardziej syntetycznym charakterze: tom pierwszy pracy, zatytułowanej poprostu „Warszawa“, na okładce którego figurują dwa nazwiska: Stef. Dziewulskiego i Henryka Radziszewskiego. Dzieło, zakrojone na wielkie rozmiary, mięć będzie tomów pięć. Pierwszy został opracowany przez p. Stefana Dziewulskiego, zawiera przeszło 500 stron druku, jest zilustrowany mapami i tablicami statystycznemi, opatrzony koniecznym indeksem przedmiotów i autorów i wyczerpuje mniej albo więcej trzy działy: dzieje miasta, topografię, statystykę ludności. Jeżeli do tego szeregu dodamy wydawnictwo Towarzystwa Naukowego, odtwarzające stare dokumenty miejskie, a opracowane przez prof. Wierzbowskiego, otrzymamy w rezultacie obraz znacznej kulturalnej ruchliwości uczonych naszych na tem polu, tak długo i niesłusznie zaniedbanem. Jest to prawie że już świetną rehabilitacyą win przeszłości. Mówi się ogólnie, że Warszawa bardzo jest kochaną przez swe dzieci. Sposób, w jaki ją kochają pp. Chlebowski, Smoleński, Dziewulski, Wierzbowski, Kraushar, Baranowski i paru innych, jest najlepszym sposobem kochania.

Stolica Mazowsza dość późno obudziła się do szerszego kulturalnego życia. Ktoby dziś odgadł, że pierwszem centrum politycznem tego kraju był Czersk, a umysłowem Czerwińsk? Mazowieccy książęta niewiele zdołali z niej uczynić. Jednak dali podstawę do rozwoju rzemiosł i handlu. Handel rozwinął się dość pięknie, ale rzemiosła nie podniosły się nigdy na ten stopień ambicyi artystycznych i twórczych, jakiemi buchało średniowiecze w krajach zachodnich. Stolicą wielkiego państwa stała się Warszawa, jako następstwo unii z Litwą i dążenia do oparcia się o dwa morza. Jakbyśmy dziś powiedzieli: Warszawa rozrosła się pod znakiem polskiego imperyalizmu.

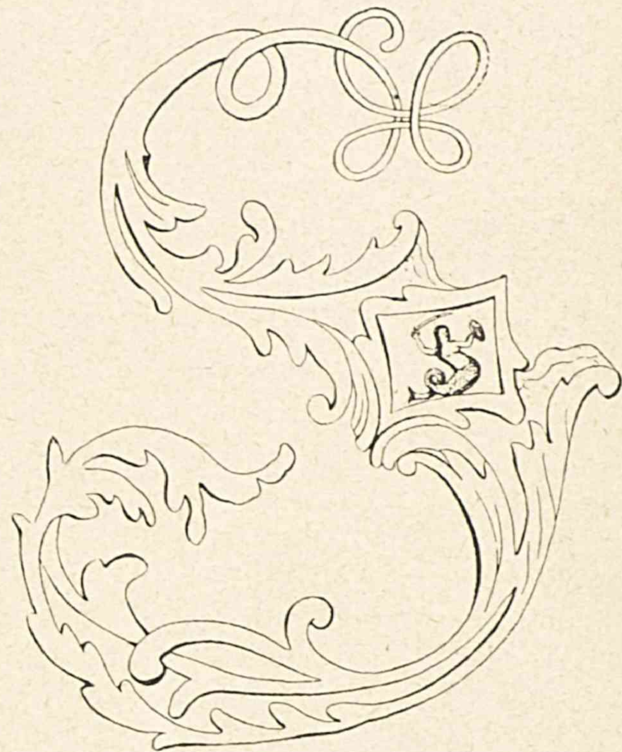
Dwa inne zresztą motywy dodały jej dominującego w państwie znaczenia: wola narodu utrzymania się przy katolicyzmie i chęć Wazów umocnienia władzy królewskiej.

Z tych trzech wielkich dążeń Polski, które z Warszawy uczyniły stolicę, rezultaty dało—tylko jedno.

P. Stefan Dziewulski zużywa trzysta kilkanaście kart na skreślenie dziejów naszego miasta, począwszy od pierwszych o niem wzmianek, a skończywszy na październikowym pochodzie 1905 roku. Daje więc całokształt historyi miasta, jakiego dotychczas nie mieliśmy. Może byłoby dobrze z tej części wielkiego rozmiarami dzieła, po dokonaniu potrzebnych poprawek, uczynić osobną odbitkę dla powszechniejszego użytku, to bowiem, co się w kilku przewodnikach Warszawy znajduje, — choć w jednym z nich wyszło z pod wytwornego pióra tak wybornego znawcy syreniego grodu, jak Gomulicki, — jest w wysokim stopniu ze względu na swą szczupłość samą niewystarczające. Praca p. Dziewulskiego, jako całość systematyczna, służyć by mogła aż do momentu, w którym Towarzystwo Miłośników Historyi nagromadzi dostateczną ilość monografii, aby na ich fundamencie można było napisać — naprzód ściśle naukową historyę Warszawy, a następnie popularny z niej wyciąg dla szerokiego użytku. Na co jednak przyjdzie czekać lata, — jeżeli nawet nie lat dziesiątki.



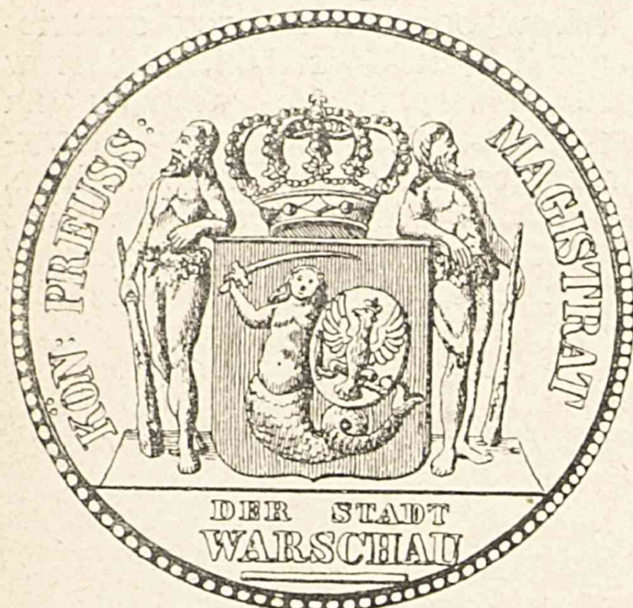
Pieczęć książąt Mazowieckich przy przywileju miasta Starej Warszawy z 1576 roku.



Herb Starej Warszawy, umieszczony w pierwszej literze przywileju Króla Augusta III-go, z dnia 21 sierpnia 1750 roku. *(Według Wejnerta, Tom I, str. 5).*

Dzieje miasta w opowiadaniu p. Dziewulskiego są prostą kroniką, umiejętnie zestawioną z szeregu źródeł i opracowań, prawie zawsze szczęśliwie ilustrowane przytoczeniami z ważniejszych dokumentów urzędowych albo opinii współczesnych obserwatorów. Konkluzyi autor unika przeważnie, przynajmniej oryginalnych, co w tego rodzaju pracy uważać należy za zaletę. Materyału zebrał mnóstwo i tak go usystematyzował, że dzieje Warszawy czytają się pod jego piórem lekko, — choć z jakże ciężkiem sercem?! Niejedna przecież część tej kroniki grzeszy zbytnią pobieżnością. Zarzut najważniejszy zrobilibyśmy części przedostatniej. Warszawa z lat 1861—1865 przedstawiona jest w sposób, który najpobłażliwszego czytelnika zaspokoić nie może. W przedstawieniu zmian np., zachodzących w rządzie narodowym, jest więcej omyłek, aniżeli wierszy druku, a żadnem słowem nie objaśnił autor, dlaczego i poco te zmiany zachodziły. Szeregi nazwisk nic

przecież same czytelnikowi powiedzieć nie mogą. Autor cytuje tu kilka tylko swych źródeł, między któremi najczęściej Limanowskiego, dzieło przestarzałe, stronnicze i pod względem historycznym mające tę tylko wartość, że przytacza parę dokumentów mniej znanych.



Herb na dekrecie Króla Pruskiego, z dnia 1 listopada 1786 roku. *(W aktach popruskich w archiwum głównem magistratu. — Wejnert, str. 30 II, № 6).*

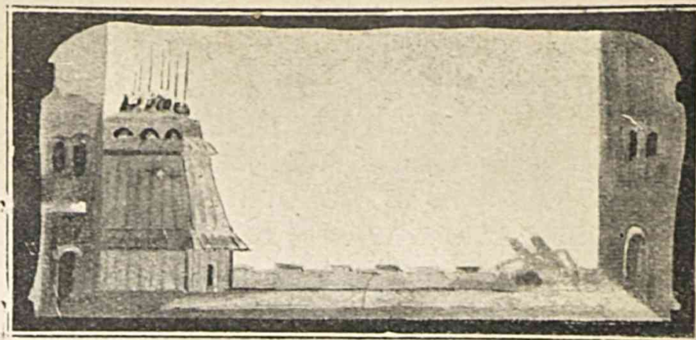
Czytelnik natomiast będzie szczerze wdzięczny p. Dziewulskiemu za mnogość niezmiernie ciekawego materyału, jaki nagromadził w swej topografii miasta. Jak rozrastała się Warszawa, — jak kolejno pochłaniała wsie, folwarki i miasteczka, które otaczały ją coraz gęściej plecionym wieńcem zewnętrznym, zanim znalazły się we wnętrzu miejskiem,—jak zlewały się rozmaite jurydyki pod jedno prawo, już to municypalne, już to koronne, — jaka jest historya grupisk, po których pozostały jedynie ślady samodzielności w nazwach odrębnych ulic, takich, jak Leszno, Solec, Krakowskie Przedmieście, Nowy Świat, Maryensztat i inne, — o tem nawet wykształcony polak, nawet miłośnik syreniego grodu wie bardzo niewiele, najczęściej nic zgoła. Chyba archeologów trzeba pytać, aby coś się o tem dowiedzieć, — ale iluż mamy między sobą archeologów? Kto z was, szanowni czytelnicy, wie np., że przestrzeń, objęta Chłodną, Elektoralną, Wierzbową, Mazowiecką, Ś-to-Krzyską, Pańską, aż do wsi Wielka Wola, stanowiła *folwark starostwa warszawskiego*, czyli uposażenie królewskiego urzędu, wprowadzonego w czasach, gdy urzędy ziemskie wykazały swą niezdatność do funkcyi ogólnopaństwowych, jako zbytnio podległe wpływom partykularnym, lokalnym, rodowym. Cenna praca p. W. Małcurzyńskiego „Rozwój terytoryalny miasta Warszawy“, wydrukowana przed kilkunastu laty, zbyt mało jest znana; dobrze też, że p. Dziewulski popularyzuje ją, nietylko odkrycia autora przypominając, ale powtarzając w swemdziele mapy jego, doskonale objaśnione.

Część trzecia, statystyczna, ma mniejsze od topograficznej znaczenie, ponieważ dotyczy tylko nowszych, a więc lepiej stosunkowo znanych, czasów. Sama metoda statystyczna jest nowożytnym instrumentem badania. Najstarsze dane, do jakich udało się sięgnąć p. Dziewulskiemu, pochodzą z 1564 roku. Odbyła się wtedy pierwsza lustracya domów i dworów Warszawy i ta wykazała ich 487 na Starem Mieście i 204 na Nowem Mieście, — Warszawa składała się wtedy z tych dwóch tylko dzielnic. Druga lustracya odbyta w 1620 roku, wykazuje znaczny upadek miasta: 180 domów na Starem Mieście, 126 na Nowem Mieście. A więc o 385 domów mniej. Było to po klęsce pożarowej roku 1607. W roku 1624 miasto nawiedziła zaraza morowa, po której ludność została zredukowana do 14 tysięcy mieszkańców. Po najeździe szwedzkim było w mieście tylko 324 domów. Epoka rozwoju dla Warszawy przychodzi dopiero w XVIII stuleciu. Największy jej kulturalny rozwój przypada na czasy Królestwa Odnowionego—1815—1830.



Stefan Dziewulski.

Jakkolwiek w dziele p. Dziewulskiego są braki i nawet wady, całość zawiera tak bogaty materyał, chronologicznie i rzeczowo usystematyzowany, że musimy przyznać mu dużą doniosłość. I będziemy oczekiwać z upragnieniem tomów następnych. *A. Wierzynek.*



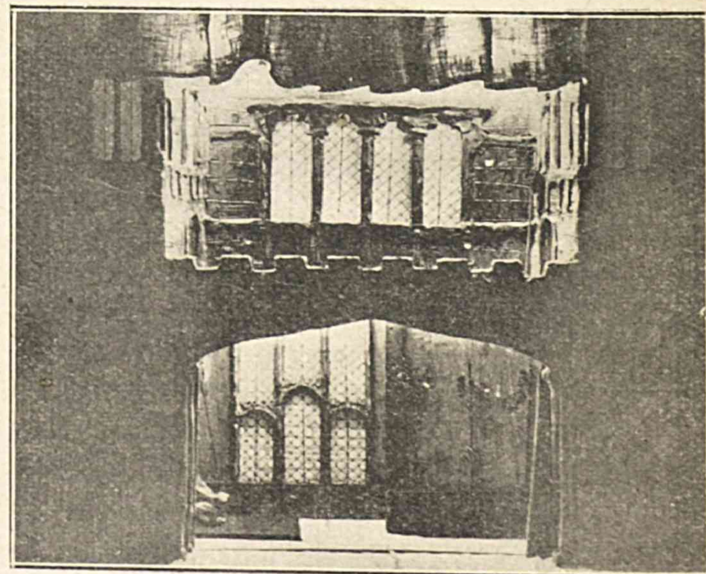
Maryan Dienstl. „Balladyna“. Na murach Gniezna. (Na uproszczonej scenie ze stałem frontowem proscenium).

3

Co robi sztuka dla teatru?

Otwarcie wystawy teatralnej w warszawskim Pałacu Sztuki.

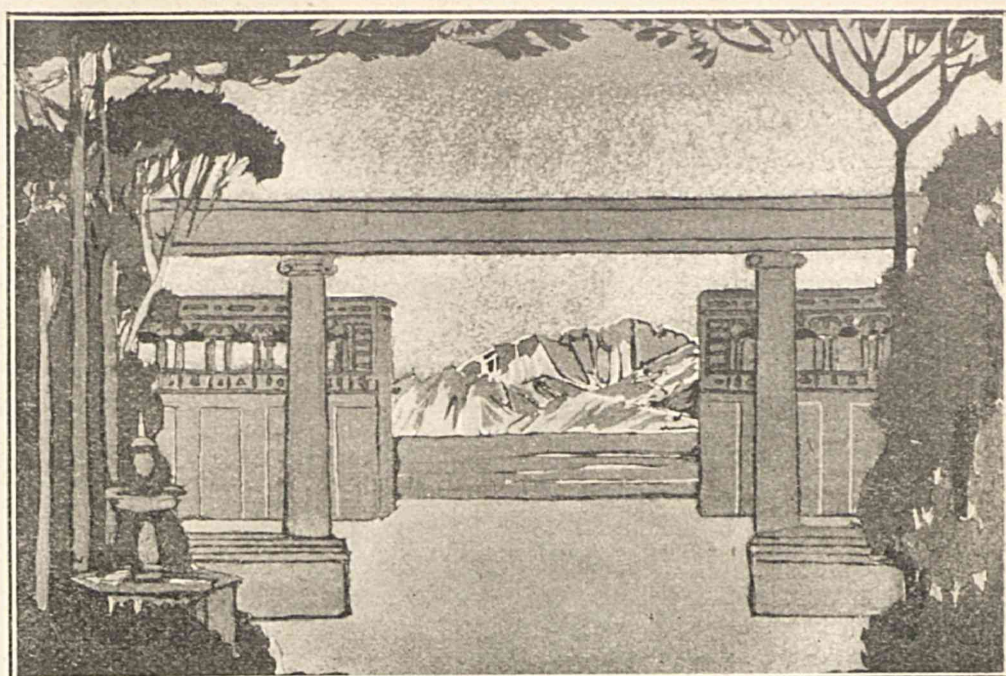
Na przeszło dziesięć lat przedtem, zanim Paryż zobaczył pierwsze mocno sylwetowane i tak całkiem inne, odrębne, mocne w kolorze utwory dekoracyjne mistrza M. Dethomasa, na przeszło dziesięć lat przed entuzyastycznym hymnem J. Peladana, witającym orgiastów barwnych z petersburskiego baletu, już w Niemczech cały szereg artystów i techników sceny, praktyków i historyków teatru zakrzątnął się koło jaknajradykalniej idących zmian w organizacyi sceny. Niezależnie od siebie, w Wiedniu, w Monachium, w Dysseldorfie, w Berlinie rozpoczynają drogą prób i eksperymentów zwalczać szablon i rutynę ludzie młodzi, zuchwali a znudzeni już do cna i fotograficznym naturalizmem i historyczno-etnograficznym konwencyonalizmem poprawnego, szarego, smętnego obrazowania scenicznego. Reprezentanci nowych prądów i kierunków w malarstwie postanawiają zdobyć dla tych kierunków także i tak ważną placówkę i teren, jakim bezsprzecznie jest scena. Co więcej, postanawiają oddać scenie to, co nowoczesna sztuka dała obrazom, t. j. powietrze i światło. Udaje im się to w sposób, przechodzący nawet najśmielsze marzenia. Genialny wprost wynalazek Loie Füller w operowaniu światłem pomaga tu w tak wysokim stopniu, że przyznają jej obecnie pierwszeństwo w zreformowaniu światła scenicznego nawet najbardziej metafizycznemi frazesami operujący reformatorzy sceny. „Artyści techniki scenicznej“ zagłębili się w żarliwe studyum tych sugestyi estetycznych, jakie dają jeszcze inne sztuki, t. j. rzeźba i architektura. I tu mamy znowu początek t. zw. sceny reliefowej, dzięki której „człowiek sceniczny“ może w pewnym momencie, np. nagłej stagnacyi gestu czy ruchu całej grupy ludzkiej, dać widzowi absolutnie identyczne z basreliefem wrażenia artystyczne. Studyom zaś nad architekturą spółczesną zawdzięcza widz niezwykłe rozszerzenie i wzbogacenie możliwości architektonicznych na scenie, a także mniej zresztą fortunny „sy-



Maryan Dienstl. Model sceny ze stałem proscenium frontowem do „Hamleta“.



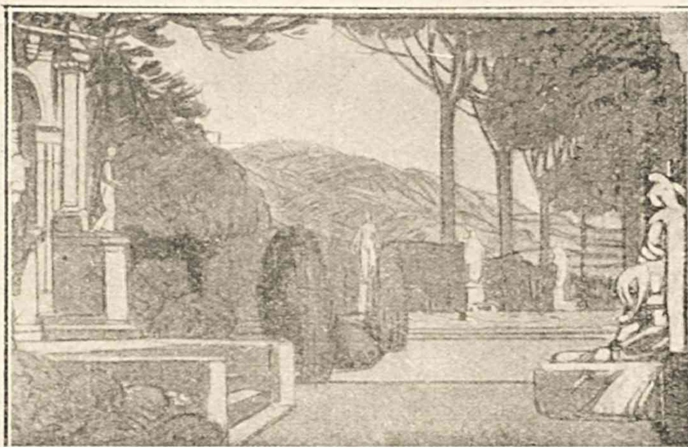
Simas. Dekoracya do „Romy".



M. Dethomas. Dekoracya do „Salome".

stem wieżowy", t. j. stałą ramę architektoniczną, pozwalającą oszczędnym kunstmistrzom sceny zwężać ją, ścieśniać, kształtować najbardziej na obraz i podobieństwo zwykłego w ramach indyferentnych... obrazu.

Niezależnie więc od siebie, Roller w Wiedniu i Erler w Berlinie wypowiadają się malarsko w sposób nowy i odrazu przekonywujący i zwyciężający. Roller idzie linią wielkich tradycyi Bibbieny i Schinkla i architekturę maluje, Erler architekturę plastyczną stawia. Erlera dekoracye do „Fausta" stanowią punkt epokowy, ale i tradycyonalista Roller zastosowywuje wieżowy system np. do Mozarta. Entuzyastyczni, energiczni teoretycy torują drogę nowatorom; broszury p. Behrensa, J. Fuchsa, Baba dokumentują zepatowanym niemiaszkom nawet metafizycznemi syllogizmami, że starzy rutyniści dawali obrazy sceniczne neutralne, monotonne, wspanialeszare, dokumentarycznie - kłamliwe, w kolorze brudne, w kształcie nudne, a że nowi mają racyę, kiedy stosując sztukę do teatru, dają *rzeczywistość* nie ścisłą a *stosowaną*, legendę legendarną, misteryum mistyczne w kolorze, w świetle, w kostiumach i w gestach. I niemieccy kierownicy tych kilku teatrów, kulturę teatralną reprezentujących (Reinhardt, Gregor, Louisa Dumont, P. Schlenther) także pierwsi wprowadzili nietylko *malarza* jednego na scenę, by mu oddać pod władzę wszystko, co oko tam widzi, ale całą plejadę *malarzy*, aby w ten sposób kojarzyć i kombinować ze sobą indywidualności z dwóch światów, duchową treścią pokrawne, charakterem swych indywidualności wzajemny rezonans w sobie budzące. I w ten sposób publiczność niemiecka widziała z kolei po Fauście, ilustrowanym scenicznie przez Erlera, „Zbójców" przez malarza Orlika, Upiory Ibsenowskie przez Muncha, Arystofanesa Hengelera, Szekspira



M Dethomas. Dekor. do „Maryi Magdaleny".

Schulza, Walsera, Hauptmana, tak, jak go czują i widzą malarze Uhde lub Lieberman, Kotzebuego w stylu T. T. Heinego z Simplizissimusa, Nestorya w persyflażu ultrastylizacyi Walsera, Offenbacha, Sterna i t. d.

Z oddaniem wszystkiego, co widzialne na scenie, pod kontrolę plastyka, z powierzeniem snów poetyckich wizyjnej intuicyi malarza wzbogaciło się, rozrosło, spotężniało całe życie teatru do granic istotnej doskonałości. Nawet utwory ducha nikłe i nijakie, postawione na nogi przez tęgą malarską indywidualność, poczęły żyć i wywierać wrażenie.

Pytamy teraz, czy w życiu „Teatru Polskiego" są tradycye i precedensy powierzania sceny malarzowi-artyście? Otóż są. W ósmym dziesiątku wieku osiemnastego dekoracye teatralne w Warszawie malował mistrz, co się zowie, Franciszek Smuglewicz; z r. 1835 zanotować trzeba z kroniki, że „zachwyt budziła w sztuce *Zalotność*, dekoracye Młocin pod Warszawą artysty Głowackiego". To są te ziarenka tradycyi, które trzeba ratować przed zapomnieniem. Dopiero za naszych czasów przyszedł Wyspiański, który w tym też kierunku dokonał rzeczy niezapomnianych, wiekopomnych, niestety, jednakże, tylko dla sceny prowincyonalnej krakowskiej i skutkiem tego nie wywołujący resonansu na innych scenach, nie dokonujący przewrotu w tej dziedzinie, nie zostawiający kontynuatorów. Dyametralnie innym, niejako antypodą Wyspiańskiego, jest mistrz dekoracyjny, świecki i nowoczesny w każdym calu, ale potencyalnie równy Wyspiańskiemu, Karol Frycz. Z tego, co dotychczas już dokonał w swojem królestwie, t. j. w Teatrze Polskim, można śmiało zaświadczyć nawet po tem wszystkiem, co się widziało w Europie, że jest to dziś największa indywidualność w dekoratywnem malarstwie europejskiem, rzetelniejsza od Baxta, bardziej skomplikowana od Dethomasa, znacznie w tyle zostawiająca Reinhardtowskiego Kninę czy Walsera. Możemy być istotnie dumni, że Frycza mamy w Warszawie, że żyje i tworzy wśród nas, że go nam nie porwała dotąd ani Anglia, ani Francya.

I dlatego na tej obecnej Wystawie nie należy dochodzić do wniosków bardzo pesymistycznych. Należy żałować bardzo, że nie wystawili swych makiet tacy doskonali dekoratorzy fachowi, jak Kozłowski, Spitziar lub wielki już majster, p. Drabik; należy z uwagą oglądać ciekawe lub problematyczne zamierzenia pp. Dienstla, Siedleckiego, Maszkowskiego, Szyllera i Jasieńskiego, Borawskiego (może dla Wagnera dramatów muzycznych).

Malkontentom niepoprawnym należy przy wychodzeniu z Wystawy przypominać tylko to jedno: a my mamy Karola Frycza...

A. Nowaczyński.

Od wydawnictwa.

Z dniem 1 października biura galicyjskiego oddziału redakcyi i administracyi „Świata" w Krakowie przeniesione zostały do domu przy ul. Dunajewskiego, 1.

Uczestnicy zjazdu polskich Towarzystw Strzeleckich we Lwowie.



XV-ty krajowy Zjazd Strażacki we Lwowie.

Wielka polska wystawa Sztuk Pięknych w Paryżu.

Wywiad korespondenta „Świata“.

Z inicyatywy znanego i cenionego muzyka, p. Adama Wieniawskiego, powstał projekt urządzenia w 1914 roku, w listopadzie, wielkiej polskiej wystawy sztuk pięknych w Paryżu. Zwróciliśmy się przeto do projektodawcy, by społeczeństwu naszemu sprawę tę możliwie najkonkretniej przedstawić, gdyż rzecz ta podlega dyskusyi.

Długo upajały nas dźwięki egzotycznej „Megae“, którą opera warszawska wystawiła w sezonie ubiegłym. Autorem tej czarodziejskiej bajki muzycznej jest Adam Wieniawski, wnuk wielkiego skrzypka, kompozytor dziś już o sławie ustalonej. Pochodzi on zresztą z rodziny, która i w piśmiennictwie naszem szlachetnie zapisała się na kartach historyi. Otóż z jego inicyatywy i wskutek jego starań, komitet paryskiego „Grand Salonu“ zadecydował, aby ²/₃ miejsca na wystawie jesiennej 1914 roku poświęcić polskiej twórczości. Oficyalnie popierać wystawę tę będzie „Sous-Secretariat des Beaux Arts“. Ciekawe więc, jak będzie ta wystawa wyglądała, co ze sztuki polskiej weszłoby do jej programu?

Na pytanie to odpowiada pan Wieniawski.

— Wystawa uwzględnić musi wszystkie zabory. Powinna być retrospektywną, to jest, od pierwocin sztuki polskiej po bujny rozkwit dni dzisiejszych, musi obejmować wszystkie etapy rozwoju polskiego malarstwa, muzyki, rzeźby, ceramiki, porcelany. Damy też wyroby włościańskie, stolarskie, pokażemy kostyumy narodowe, zorganizujemy odczyty o naszej literaturze.



Adam Wieniawski.

— Kiedyż nastąpi otwarcie?

— Przypuszczam, że otwarcie odbyłoby się 12 listopada, zamknięcie zaś 18 grudnia 1914 roku. Możnaby postarać się o oficyalną inauguracyę przez prezydenta Rzeczypospolitej, p. Poincaré. Otwarcie więc byłoby pierwszą uroczystością.

— Czy istnieje zamiar urządzenia jeszcze jakich nadzwyczajnych atrakcyi?

— I owszem. Damy 2 koncerty polskie z udziałem najwybitniejszych sił, urządzimy bankiet dla francuzów z podziękowaniem za gościnność, po bankiecie bal z tańcami narodowemi. Wogóle trzeba pomyśleć nad tem, by urozmaicić tę naszą pierwszą wszechświatową wystawę. Dobrze byłoby, aby nawet w restauracyi „Grand Palais“ przygrywała włościańska jakaś orkiestra. Piosnki ludowe, kolendy będą też objęte programem koncertowym.

— Jak pan myśli, uda się tak olbrzymią pracę koło tej wystawy wykonać?

— Utworzymy komitety w Warszawie, Krakowie, Poznaniu, Wilnie i t. d. z centralnym komitetem w Paryżu. Wybór przedmiotów i ścisłe ich określenie odbędzie się pod przewodnictwem komisyi wystawowej, którą również musimy zawiązać.

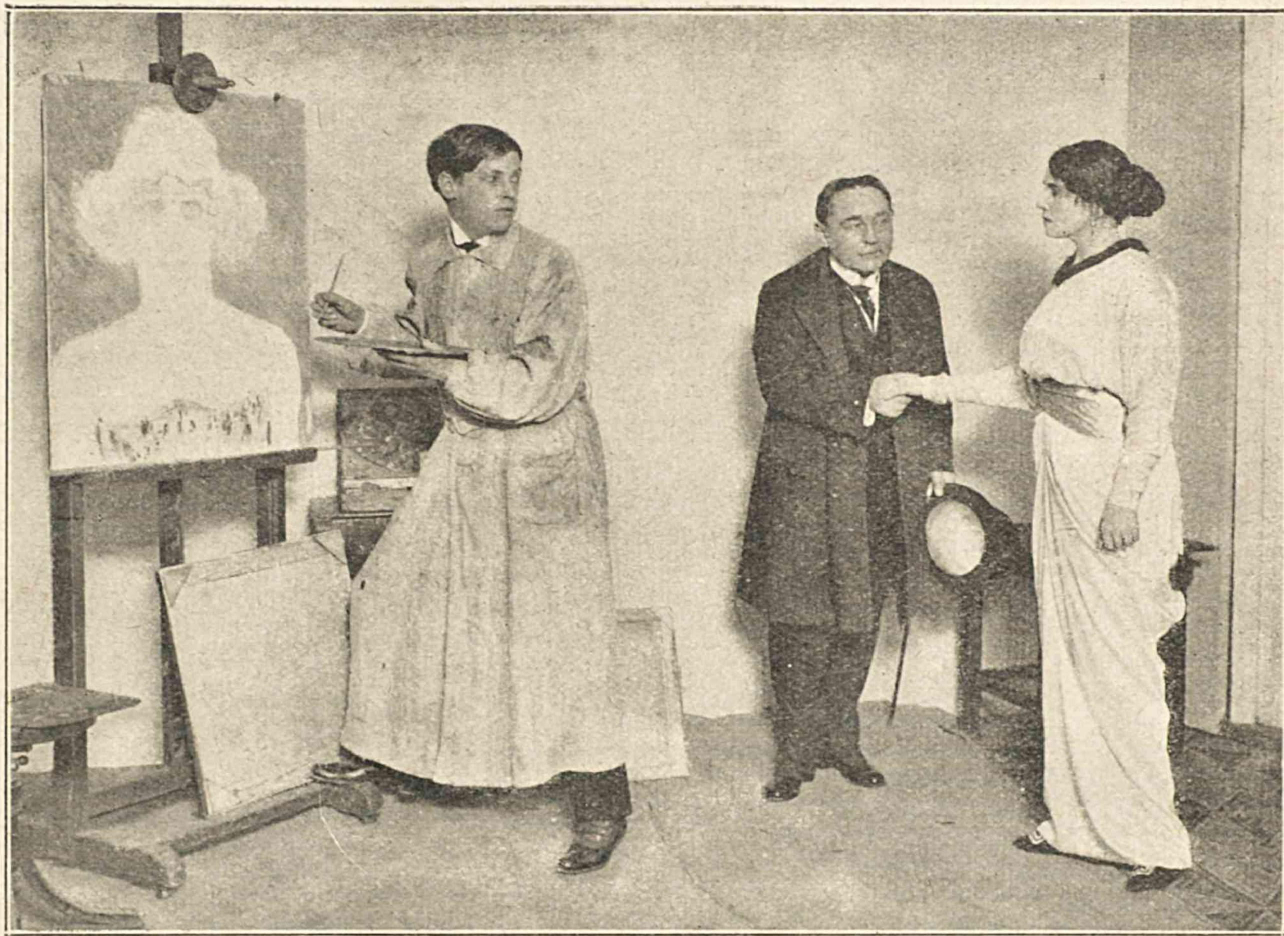
— Wszystko to pięknie, ale na to potrzebne są olbrzymie sumy.

— Nie tak olbrzymie, jakby się wydawało. Ofiarność naszych magnatów i finansistów jest znana.

— Rok ten jest klęską dla rolników, nie mówiąc już o Galicyi, która wskutek politycznych przesileń jest w nędzy. Trzeba się z tem liczyć.

— Biorę to wszystko pod uwagę. Mam jednak nadzieję, że nie poniechamy sympatycznej przychylności francuzów, przez którą to uda nam się pokazać Europie, jak twórczo oraz intensywnie, jako naród, pracujemy. Sądzę też, że artyści polscy, literaci, wogóle całe społeczeństwo nasze dopomoże w doprowadzeniu tego dzieła do skutku.

Paryż. *Cz. K.*



Fot. Wł. Sztyblewski. „Lekarz na rozdrożu“, akt III-ci. Pp. Osterwa, Wojdałowicz, Pawińska.

Z teatrów warszawskich.

TEATR LETNI. „Doktór na rozdrożu“, („*The Doctors Dilemma*“). Sztuka w 5-ciu aktach, Bernarda Shawa.

Shaw, niewątpliwie jeden z najoryginalniejszych umysłów spółczesnych, ma na swe rozkazy wszystko: talent, dowcip, głęboki zmysł satyryczny, świetny dar sypania, jak z rogu obfitości, tak zastanawiającemi paradoksami, że niemi prawdopodobieństwo nawet zastąpić czasem umie — tylko prawdziwego zmysłu dramatysty niekiedy mu zabraknie. Stąd bywa, że świetne jego pomysły przybierają czasem kształty bardzo złych sztuk dramatycznych... Ah! bo Shaw jest tak genialny — mówią jego bezwzględni wielbiciele — że *nie potrzebuje* liczyć się z wymaganiami sceny. Na podobne dictum niema, oczywiście, repliki. Tam bowiem, gdzie się zaczyna sekciarstwo, logika zasypia... A potem, najrozmaitsze domysły: jaką miał ideę Shaw, pisząc tę lub ową sztukę? Czy leitmotivem „Doktora na rozdrożu“ była drwina ze sztuki lekarskiej, z blagi, humbugu i doktrynerskiej bezwzględności, stawiającej na ostatnim dopiero planie zdrowie i życie biednego pacyenta? Czy osią sztuki jest dylemat d-ra Rudgeon'a: wyleczyć utalentowanego suchotnika, bez względu na jego tak wybitną *moral insanity;* czy też zabić go zapomocą złego leczenia, aby się potem ożenić z jego przystojną żoną? Czy też nareszcie: wszystko to służy dla Shaw'a za pozór jedynie; głównym celem jest ironiczna antyteza pomiędzy całym światem uczonych filistrów, zostających zawsze w zgodzie z „kontraktem socyalnym“, na to przedewszystkiem, aby ta zgoda służyła za wygodny parawan do zakrycia mierności, nizkich instynktów, a nawet

zbrodni — a tym chłopcem, pełnym talentu i wdzięku życiowego, ale będącym, czasem zanadto, w zupełnym rozbracie, nietylko już z konwenansem społecznym, ale z prostą uczciwością. Przypuszczenie, że Shaw miał tu Oskara Wilde'a na myśli, nasuwa się mimowoli nieledwie, choć nie starczyło mu pięciu aktów, aby w nich zmieścić wszelkie „nieprawidłowości" Wilde'a...

Wobec świetnych momentów sztuki, dyalogu, tryskającego dowcipem, a mającym za podkład głęboką ironię, wobec zainteresowania, jakie budzi jej strona wewnętrzna, zapomnieć można o nieprawidłowościach jej zewnętrznej budowy, w czem Shaw dochodzi niekiedy wprost do ekscesu, do drwin ze sceny, teatru i siebie.

Grano sztukę bardzo dobrze i starannie. Główna rola, młodego malarza, nadzwyczaj trudna w swych kontrastach, pojęta była i grana przez Osterwę doskonale. Nawet scena konania w 4-tym akcie, strasznie długa, a tem przykrzejsza, że autor i wtedy jeszcze, wobec śmierci, drwić nie przestaje, nie budziła odrazy, dzięki mierze artystycznej i talentowi. Pani Pawińska w roli żony miała nietylko wdzięk i dystynkcyę, ale umiała jej nadać cechy prawdy. P. Wojdałowicz, jako dr. Rudgeon, choć nie zewszystkiem może w swej roli, utrzymał się jednak na właściwym poziomie. Na całość złożyła się obsada taka, jak: Rapacki, Brydziński, Kawalski, Janusz, Żółkowska i Rolandowa.

O wystawie powiedzieć można, że przypominała miejscami dawne, dobre czasy. Od początku słyszymy o wielkim talencie młodego malarza; aż nareszcie widzimy go, jak kończy jakiś ogromny, straszny bohomaz, któremi obwieszone są również ściany i jego pracowni, i jego wystawy pośmiertnej w ostatnim akcie. Jeśli rekwizyty teatru są istotnie tak ubogie w tym kierunku, to już lepiej byłoby tak urządzić, żeby tych okropności nie było widać.

A .Br.

Debiut w Teatrze Małym.

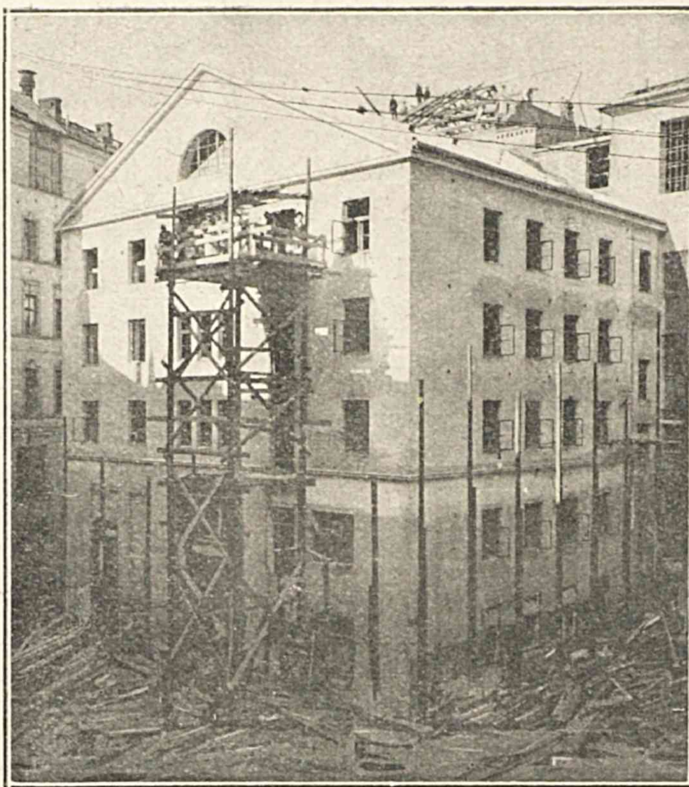
W cieszącej się wielkiem powodzeniem krotochwili Guitry'ego, p. t. „Asekuracya miłości", wystąpiła w trudnej roli „Pani", p. Lena Morelli. Młoda artystka obdarzona jest szczęśliwemi warunkami scenicznemi. Wzrost wyniosły, głos, choć w tonacyi nizki, posiada przyjemne, pieszczotliwe brzmienie. O interpretacyi roli niewiele narazie powiedzieć można, gdyż trudno wymagać od artystki, po raz pierwszy występującej, by mogła podołać tak trudnej roli. Talent jednak był widoczny; przedzierały się jasne promyki aktorskiej twórczości pomimo nieznośnej tremy. Gdy p. Morelli przyzwyczai się do sceny, zapewne da nam niejedną ciekawą kreacyę.



Lena Morelli.

e. c.

Przebudowa teatru Rozmaitości.



Widok na obecny stan robót z wewnętrznego dziedzińca. Na drugim planie widać wznoszącą się kopułkę, która stanie nad gmachem głównym, od placu teatralnego.

Fot. Wł. Sztyblewski.

Z teatru lubelskiego.

Sezon teatru lubelskiego rozpoczął się pod pomyślnemi horoskopami. Nowy kierownik zgromadził wcale liczny i utalentowany personel operowy, dramatyczny i operetkowy, w doborze repertuaru znać dużą staranność. Z sił operowych wyróżniają się, między innemi, p. Szafrańska i pp. Szymański i Hajek. Z nowych dramatów na pierwszy ogień poszły „Lilie" Morstina, w których odznaczyła się dużą siłą dramatyczną, temperamentem i ujęciem roli oryginalnem i konsekwentnem p. Wanda Jakubowska, artystka, rokująca świetne nadzieje. Rolę włodarza odtworzył doskonale p. Łuczak; reszta zespołu grała zupełnie poprawnie. Następną premierą było „W gołębniku" Nikorowicza, w najbliższej przyszłości wejdzie na scenę „Cyganerya warszawska" Nowaczyńskiego.



Wanda Jakubowska, jako „Pani" w „Liliach" Morstina.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu B. Krippendorfowowi. Fotografia została zwrócona osobie, która zgłosiła się w swoim czasie do naszej redakcyi.

Panu J. Wróblowi, Lwów. Wiersze pańskie drukowane być nie mogą, gdyż mamy teki przepełnione.

„M-me Butterfly" na scenie poznańskiej.



Scena poznańska rozpoczęła pod dobrym znakiem drugi swój sezon pod dyrekcyą pp. Szczurkiewiczów. W dramacie niezwykły sukces odniósł Józef Węgrzyn w „Liliach" Morstina, jako gorąco witany gość z Warszawy. Rolę bohaterki objęła ponownie zaangażowana p. Podgórska. Obok niej, tworzą główne siły dramatu i komedyi pp. Górska, Modrzewska, Dąbrowska, Janikowska, Rodmund, Ryll, Lochman i Boehlke. Niemal równocześnie zyskała powszechne uznanie publiczności opera „Madame Butterfly", wystawiona bardzo starannie przez W. Malawskiego, reżysera i zarazem głównego tenora sceny poznańskiej. Piękną kreacyę w roli tytułowej dała p. Marya Steffel-Haykowa. Nowe dekoracye świadczą o staranności i europejskim stylu dyrekcyi. Orkiestrę i chóry prowadzi pewną i artystyczną dłonią Stefan Barański.

Personel artystyczny teatru poznańskiego liczy obecnie 120 osób.

Nowy sezon opery warszawskiej.



1) H. Dyliński, 2) M. Piryńska, 3) G. Gorski, 4) M. Wohl-Lewicka, 5) Z. Zabiełło, 6) P. Szepietowski, 7) J. Lachowska, 8) A. Ostrowski, 9) W. Rogowska, 10) W. Brzeziński, 11) Z. Mossoczy, 12) T. Śledziński 13) H. Mroczkowska, 14) M. Palewicz, 15) A. Borkowski, 16) J. Mechówna, 17) S. Metaxian, 18) W. Grąbczewski, 19) W. Geitler, 20) P. Cimini, 21) H. Skwarecka, 22) I. Dygas, 23) M. Lewicki, 24) N. Grafczyńska, 25) G. Genzardi.

Z muzyki.

Wirtuozka skrzypiec.

Uczennica prof. Auera, panna M. Bersonówna, koncertowała z wielkiem powodzeniem w Petersburgu. Krytyka jednogłośnie przyznała jej niezwykłą technikę i wielkie poczucie stylu w muzyce. W nadchodzącym sezonie grać będzie panna Bersonówna na koncertach w Berlinie, Lipsku i Dreznie. W repertuarze swoim posiada ona tak trudne utwory, jak koncert Paganiniego.


M. Bersonówna.

Wileńska orkiestra Symfoniczna,

założona przed kilku laty, zyskała pod artystycznym kierunkiem p. Adama Wyleżyńskiego szeroki i zasłużony rozgłos i uznanie wśród publiczności wileńskiej. W roku b. zorganizowała po raz pierwszy koncerty letnie w ogrodzie Bernardyńskim, gdzie dzięki subsydyum miejskiemu wyznaczyć było można nizkie ceny (12 kop.) wstępu. Wielotysięczne tłumy publiczności miały sposobność od 20 maja do 25 sierpnia wysłuchania 54 koncertów, a pomiędzy niemi 13 symfonicznych. Orkiestra, złożona z 50 członków została doskonale wyszkolona, zyskując zasłużone uznanie tak ze strony publiczności, jak prasy.


Adam Wyleżyński.

Wilno. *n.*



Pawilon firmy „Herman i Grossman" na wystawie technicznej w Warszawie.

Z nowości muzycznych.

Na urządzonej w „Palais de Glace" wystawie technicznej jedno z dominujących miejsc zajęła znana dobrze i ruchliwa firma „Herman i Grossman". W gustownie urządzonym pawilonie, okolonym płonącem kwieciem elektrycznem, wystawiono pianino samograjace, pianino skrzypcowe, orkiestryon elektryczny i Deę, odtwarzającą grę pierwszorzędnych wirtuozów świata.

Instrumenty te, odznaczające się precyzyjnością wykonania oraz pięknością, stanowią jedną z atrakcyi wystawy, gromadzącą przed pawilonem tłumy słuchaczy.

Nie należy się temu dziwić. Wszakżeż wystawione w pawilonie firmy „Herman i Grossman" pianino skrzypcowe na wystawie w Brukselli w r. 1911 otrzymało najwyższą nagrodę z powinszowaniem jury.

Zwracają na siebie również uwagę cieszące się stale wielkiem powodzeniem instrumenty wszechświatowej sławy fabryki C. Bechsteina, oraz obok umieszczony piękny fortepian popularnej marki I. Tresselt.

Wprowadzając do kraju instrumenty tych pierwszorzędnych firm, firma „Herman i Grossman" oddaje wielką przysługę sztuce muzycznej.

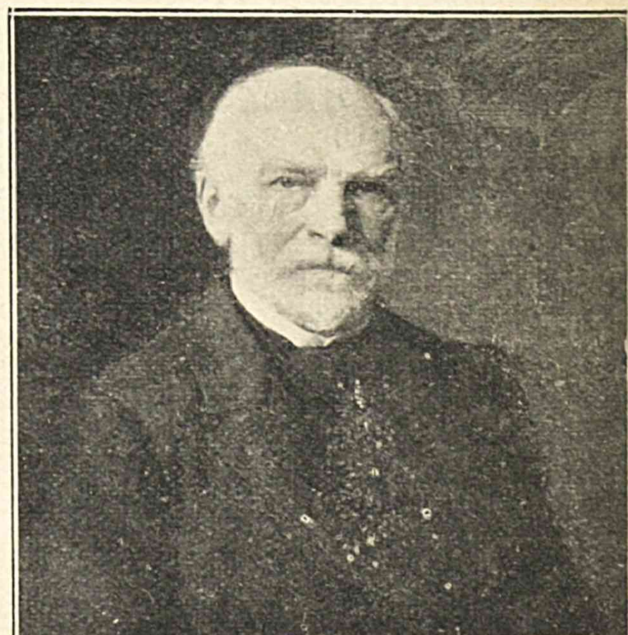
Z życia prowincyi.


Kierownicy sklepu p. n. „Tow. Współdzielcze handlu towarami bławatnemi" w Rownem, na Wołyniu: pp. L. Mizeracki, L. Rutkowski i Rymarkiewicz.

Szkoła pielęgniarek dr. Julii Grużewskiej w Warszawie.


Fot. Maryana Fuksa. Uroczystości poświęcenia dopełnił ks. prefekt Nowakowski.

Zgon uczonego polskiego.


Antoni Małecki, znakomity historyk i badacz literatury polskiej, profesor Uniwersytetu lwowskiego, zmarł, w 92 roku życia. dnia 7 października we Lwowie.



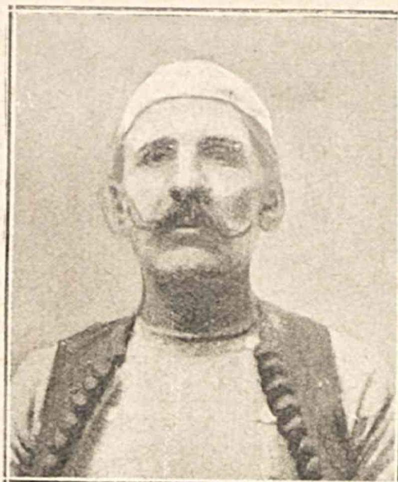
ANTONI HALSKI, prezes zjazdu kupców chrześcian. Zjazd odbył się w tygodniu ubiegłym we Lwowie.



Dr. EMIL BOBROWSKI, nowoobrany poseł z Podgórza w Krakowie, członek partyi socyalistycznej.



Pułk. DAMIAN POPOWICZ, przywódca wojsk serbskich walczących przeciw albańczykom.



ISSA BOLLETINAC, przywódca powstańców albańskich, ranny i wzięty do niewoli.

Najważniejsze wypadki minionego tygodnia.

SPRAWY POLITYCZNE.

Wilhelm Expropriator, bawiąc na Śląsku u hr. Larischa, miał się ubliżająco wyrazić o polakach. Zaprzeczono temu przez Agencyę... Petersburską.

Nowe zamieszanie bałkańskie usiłują wzniecić Essad-pasza na wschodzie a Enver-bej na zachodzie półwyspu.

Pokój pomiędzy bułgarami a turkami został nareszcie podpisany w Konstantynopolu, — na wieczną zmienności rzeczy pamiątkę...

Pomiędzy grekami a turkami stosunki zerwane. Nowa wojna wisi w powietrzu.

Generał Czunsiuna przeprosił uroczyście konsula japońskiego. Konsul zadowolony, ale Japonia nie, — bo umknął jej powód interwencyi.

Chiny dostaną wbród pieniędzy bez łaski mocarstw; ofiarowują się z pożyczką: Belgia, Stany Zjednoczone, a nawet Austrya.

Juonszikaj wybrany został znaczną większością głosów na prezydenta rzeczypospolitej Chińskiej.

Mowa prezesa ministrów francuskich na kongresie szkolnym odrzuca myśl nowych prześladowań religijnych we Francyi.

Z NAD NEWY.

Kokowcew przeciwny jest dalszemu skupowaniu kolei prywatnych. Pragnie na nie włożyć obowiązek budowania nowych torów.

Przeciwko językowi polskiemu rozpoczęło kampanię „Nowoje Wremia". Wedle tego pisma, nic tak nie przywiąże polaków do Rosyi, jak pozbawienie ich praw rodzimego języka.

Wprowadzone w drodze pozakonstytucyjnej ziemstwa na Litwie już wymagają — poprawki. Za mało dostali nacyonaliści. Ciekawa rzecz, jaką drogą wejdą te poprawki?..

Pisma rosyjskie omawiają pociągnięcie posła Święcickiego do odpowiedzialności za wydrukowanie w broszurze swych mów dumskich, podkreślając zupełną nowość takiego faktu.

REPRESYE.

Zamknięto zjazd działaczów samorządowych w Kijowie, w chwili, gdy Guczkow czytał ustępy z manifestu październikowego.

W uniwersytecie berlińskim przestano zupełnie przyjmować studentów, pochodzących z państwa rosyjskiego. Jednocześnie ogłoszono, że wszyscy inni cudzoziemscy studenci będą nadal przyjmowani.

Firmie „Ćmielów" nie pozwolono umieścić w Mińsku polskiego napisu obok rosyjskiego.

Skonfiskowano po raz czwarty w tym roku numer pisma popularnego: „Naród".

Dramat p. Elżanowskiej-Elzenberg, p. t. „Juliusz Słowacki, — sceny z życia poety", — został skonfiskowany.

Przywrócono prawo bytu klubowi automobilistów zamkniętemu w 1910 r., jakoby za grę hazardową. Senat uznał, że uprawianie tam gry nie zostało dowiedzione.

SPRAWY POLSKIE.

W Warszawie opinia publiczna żąda zorganizowania pomocy dla głodnych galicyan.

Centrum obywatelskie, stronnictwo od roku istniejące w Wielkopolsce, ogłosiło swe wyznanie wiary: będzie demokratycznem i narodowem.

Piękny podarunek ślubny złożył Galicyi hr. Feliks Sobański z okazyi ślubu swego syna z hr. Kwilecką: 30.000 rb. na głodnych.

Z okazyi założenia w Krakowie szkoły górniczej pisma rusińskie wołają o uniwersytet rusiński we Lwowie.

Obrady klubów politycznych z udziałem marszałka i namiestnika w sprawie reformy wyborczej sejmu lwowskiego nie doprowadziły do żadnego rezultatu.

LITERATURA I SZTUKA.

Restauracya grobu Korzeniowskiego na Powązkach odbywa się staraniem rodziny.

Teatr Nowoczesny p. Nowaczyńskiego ogłasza konkurs na wesołą jednoaktówkę. Nagrody 400 i 200 rb.

Na pieśń o Józefie Poniatowskim ogłasza konkurs „Tygodnik Ilustrowany".

O odnowienie kamienicy Grabowskich na Starem Mieście nr. 16 upominają się nasi archeologowie.

Emanacya radu została pochwyconą w butelki z wodą przez angielskiego przyrodnika, Trevesa. Uprzystępni to znakomicie stosowanie radu w medycynie.

Wykłady chłodnictwa projektuje przy wyższych zakładach naukowych ministeryum handlu i przemysłu.

Wynalazca fotografowania na odległość, profesor berliński, Korn udoskonalił swój wynalazek, stosując go i do kinematografu.

RÓŻNE.

Łotewskim Carnegiem nazywają pisma p. Dąbrowskiego, który założył Dom Ludowy kosztem 3.000 rb. pod Rygą.

Przymus paszportowy ma być wprowadzony w Austro-Węgrzech dla mężczyzn, dochodzących do pełnoletności. Ma to na celu ukrócenie emigracyi przed służbą wojskową.

Dzielna policya Krakowska pochwyciła już morderców ś. p. Świszczowskiego. Są to byli bojowcy.

Sensacyjna sprawa o morderstwo rytualne rozpoczęła się w Kijowie. Budzi głośne zainteresowanie w całym świecie.

Weterani Warsz. Straży Ogniow.



Władysław Ferens.



Józef Cebula.

Dn. 28 września odbyła się w straży ogniowej w ratuszu uroczystość dwu weteranów: majstra kominiarskiego, p. Władysława Ferensa, przebywającego w straży od 1873 r. i wachmistrza 3-go oddziału, p. Józefa Cebuli, czynego w straży od 36 lat.

Otwarcie bezpłatnego zakł. ginekologicznego w Warszawie.



Grupa członków zarządu Tow. Niesienia Pomocy Ubogim Matkom, z prezesem p. Wagnerem i sekretarzem p. Mühlsteinem na czele. Zakład urządzony podług ostatnich wymagań, techniki i hygieny, posiada 45 łóżek w trzech wielkich, widnych salach. Podczas otwarcia zebrano na miejscu od obecnych gości 3000 rbl. *Fot. Maryana Fuksa.*

Z literatury zawodowej.

„Roboty ręczne".

Uboga dotąd zawodowa literatura polska wzbogaci się znowu jednem cennem dziełkiem, przeznaczonem specyalnie dla kobiet, a wydanem przez ruchliwą redakcyę czasopisma „Nasz Dom". Wydawnictwo zostało podjęte celem krzewienia wśród szerszych warstw zamiłowania do robót ręcznych, oraz dania pracownicom potrzebnych wskazówek i wzorów. Na pierwszy ogień poszła szydełkowa koronka irlandzka, przedstawiona szczegółowo w dwóch zeszytach o wytwornej zewnętrznej szacie, z których właśnie pojawił się drugi na półkach księgarskich. Zeszyt pierwszy zawierał podstawy wyrobu koronki irlandzkiej, sposób zarabiania i różne wzory tła, przy rozmaitych figurach, z jakich można dowolnie układać desenie; zeszyt drugi podaje nowe, bardzo piękne, choć trochę trudniejsze wzory robót, kwiaty, liście, gałązki, rozety, gwiazdy, medaliony i t. p. Kurs, opracowany z niezwykłą sumiennością, jest dziełem zmarłej niedawno współpracowniczki „Naszego Domu", ś. p. Maryi Skrodzkiej.

Niezwykłe chrzciny.



W kościele katedralnym św. Jana odbyła się rzadka uroczystość ochrzczenia 7-ga dzieci pp. Bol. Drożyńskich, w wieku od 9 miesięcy do lat 14. *Fot. Maryana Fuksa.*